

WIOLETTA
GRZEGORZEWSKA

GUGUŁY



ODPUSTNICA

W oknie naszego kamiennego domu prawie dwa lata wisiała chrzcielna kapka przybrana barwinkiem i poźółkłym szparagusem. Kusila mnie ta kapka-chlapka różyczką w środku i byłabym z niej zrobiła kołdrę dla lalek, ale mama nie pozwoliła się do niej zbliżać.

– Nie ruszaj kapki, Loletko, to pamiątka, zdejmujemy ją, jak wróci tata – mówiła. A koleżance z sąsiedztwa, która wpadła do niej na chwilę, to znaczy na dwie godziny, opowiadała o tym, jak w miesiąc po aresztowaniu ojca za ucieczkę z wojska i dwa tygodnie przed terminem porodu dostała skierowanie do pracy w Suw-budzie. Tam w ramach nowego planu musiała produkować w brygadzie kilkunastu robotnic płyty chodnikowe i kostkę brukową, żeby gmina mogła zbudować na czas nowe place przed urzędami, szkołami i ośrodkami zdrowia. W końcu mama nie wytrzymała pracy na mrozie, schowała się za betoniarką i gdy wody płodowe odeszły do wiadra z wapnem, zawieźli ją na porodówkę. Przyniosła mnie do domu w lutym. Wciąż krwawiła po porodzie, położyła się na łóżku, odwinęła śmierzdzący śluzem i moczem becik, żeby sprawdzić, czy jestem cała, posmarowała kikut mojej pępownicy gencjaną, zawiązała mi na przegubie czerwoną wstążkę przeciw złym urokom i zasnęła na kilka godzin. To był taki sen, podczas którego człowiek decyduje, czy odejść, czy jeszcze zawrócić.

Taty wciąż nie było. W pudle po butach przybywało jego listów ozdobionych rysunkami zwierząt i roślin, a w kalendarzu ubywało kartek i już cienki plik dni dzielił nas od zakończenia roku. Minęło kilka miesięcy. W sieni wykluły się kaczątko, mama przeniosła je razem z

kaczką do chlewa, skąd miały blisko na podwórko do przeciętej na pół opony z wodą. Dziadek zaczął heblować nowe okiennice na strych i bieguny dla mojego konia. Babcia wyplatała z osikowego łyka kolorowe kogutki. Muchy ożyły między ramami okien. Gdy chrzcielna kapka spłowiwała, listki barwinka opadły na parapet, do domu wszedł chudy pan z kręconymi włosami i wąsikiem. Kiedy mnie zobaczył, płakał cały dzień i uspokoił się dopiero wtedy, gdy Polska zaczęła grać w mundialu.

W czerwcu pojechaliliśmy na odpust do bazyliki Świętego Antoniego. Zaczęła się procesja. Z kościoła wyszedł ksiądz, za nim wyszywane chorągwie, panie poprzebierane za księżniczki z wplecionymi ze słomy barankami, wieńcami. Komunijne dziewczynki sypały im kwiatki łubinu pod nogi. Zapatrzyłam się i gdy mama szukała w torebce drobnych na tacę, puściłam jej rękę i pobiegłam za procesją jak za królewskim orszakiem. Zatrzymałam się dopiero przy straganie z dmuchanym srebrnym wielorybem. Wieloryb nie mógł odpłynąć do chmur. Słońce złapało go w fioletowe i czerwone kręgi, osłepiło mnie i piekło w policzki. Pożłoceni ludzie znikali między bryczkami i samochodami, zostawiając po sobie podłużne cienie na murze.

Pod drzewem stała wyliniała lama. Ślina ciekła jej z pyska. Ludzie podchodzili, wrzucali pieniądze do puszek przypiętej łańcuchem do płotu i wsadzali dzieci na grzbiet zwierzęcia okryty wzorzystą derką, a pan w słomkowym kapeluszu pstrykał im zdjęcia takim sprytnym aparatem, który od razu wypluwał odbitki. Lama smutno spoglądała spod długich rzęs. W jej oczach kręciły się przypalone żaróweczki. Chciałam pogłaskać jej strączkową grzywkę, ale w tym momencie ktoś strzelił z kapiszona. Przestraszona lama podskoczyła, a ja uciekłam pod najbliższy stragan przykryty ceratą. Na zewnątrz szeleściły folie, grały trąbki, piszczałki, nakręcane zabawki i harmonijki. Zatkałam uszy i siedziałam pod straganem, a malinowy sok kapał prosto z ceraty na nową sukienkę. Osy

zaczęły krążyć wokół moich warkoczy jak prądkowane piranie, spijały sok z różyczek na materiale sukienki i ciągle rosły, i rosły. Jedno osisko usiadło mi na głowie i brzęczało za uchem. Położyłam się na suchej ziemi i zapłakałam:

– Mamo, mamó! Osy chcą mnie porwać! – Ale mamy nigdzie nie było.

Cerata uchyliła się i ukazał się Pan z Wąsikiem.

– Tu jesteś, ty, ty... – Wyciągnął mnie spod straganu i przytulił. – Odpustnico ty mała, gdzie się podziewałaś? Wszędzie cię szukałem.

– Puś, puś, tata! – zapiszczałam wesoło i ukradkiem wytarłam zasmarkany nos o klapę jego marynarki. Pan z Wąsikiem, chyba ze szczęścia, że po raz pierwszy nazwałam go tatą, podniósł mnie i zakręcił w powietrzu. Zmrużyłam oczy i zaśmiałam się głośno. Słońce ponakłuwało osy, które zmniejszyły się do normalnego rozmiaru i odleciały przez fioletowe i czerwone kręgi. Światło łaskotało mnie jak woda podczas kąpieli w bali na podwórku. Zgłodniałam i zaczęłam żuć rąbek paska od sukienki. Z ciemnej wnęki przystanku wychyliła się owinięta sznurem obwarzanków głowa mamy.

JEZUSOWA LOTERIA

Wbrew zakazowi matki zaczęłam sypiać z Czarnym. Czarny pachniał sianem i mlekiem, a na szyi miał śnieżnobiałą mapę Afryki. Przychodził do mnie w nocy, kładł się na pierzynie i mruczając, poruszał łapkami tak, jakby chciał ugnieść na niej drożdżowe ciasto. Odkąd znalazłam go na strychu, żyłam z nim w dziwnej symbiozie: nosiłam w swetrze jak niemowlę, podkradałam dla niego śmietanę z kredensu, a w niedzielę oddawałam mu swoje skrzydełko z rosołu.

Całe lato włączyłam się za nim po polach, bo Czarny pokazywał mi inną geometrię świata, gdzie granice wytyczały nie miedze porośnięte ostem i lebiodą, kamienne drogi, płoty, ścieżki wykoszone lub wydeptane przez człowieka, ale światło, dźwięki i żywioły. Nauczyłam się chodzić za Czarnym po pustakach, stogach siana, wspinać się na papierówki i czereśnie, omijać ukryte w ostrężynach kamionki^[1], gniazda szerszeni, grzęzawiska i wnyki w zbożu.

Po świętach Bożego Narodzenia Czarny zaczął mnie unikać. Pojawiał się w domu tylko na chwilę, kładł na progu półżywą mysz, jakby chciał tym gestem przeprosić za swoją nieobecność. W pierwszy dzień zimowych ferii zniknął na dobre. Szukałam go pod plandekami i w pustych boksach po nutriach u wujka Lolka, gdzie lubił przesypiać całe dnie, ale nigdzie go nie było.

Moim głównym podejrzanym w sprawie zniknięcia Czarnego był wujek Lolek, który kilka miesięcy temu załatwił sobie wór cukru, ukrył

[1] Kamionki (reg.) – dzikie kopalnie kamienia wapiennego na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej.

go w szopie za węglem, a Czarny urządził sobie w tym cukrze kuwetę. Pobiegłam do wujka uzbrojona w wiatrówkę ojca, wymierzyłam w niego i powiedziałam, żeby natychmiast oddawał mi Czarnego, bo nie pozwolę przerobić kotka na skórki i kiełbasę jak te śmierdzące nutrie. Wujka najpierw zamurowało, a potem roześmiał się tak, że omal nie wpadł do beczki z kiszoną kapustą. Z wdzięczności za to, że rozweseliłam go z samego rana, poczęstował mnie cukierkami.

Nazajutrz o świcie zagadnęłam mleczarza, który zatrzymał konia przy naszym gościńcu i wciągał hakiem bańki na furmankę.

– Nie widział pan gdzieś Czarnego?

– Kogo?

– Czarnego kota.

– Tfu, na psa urok, tego ino brakowało, żeby jakiś czorny kocur przeleciół mi dziś drogę, ale czekoj no, przy mostku szwędół się jakiś łaciaty.

– Łaciaty to nie, ale jakby pan widział gdzieś czarnego, to niech pan da znać.

– E, Wiolitko, czekoj, mom tu coś dla ciebie. – Podał mi serek waniliowy ze spółdzielni, ponaglił konia i odjechał.

Błąkałam się jeszcze ze dwie godziny po Hektarach, zaglądałam do rynien i w kępy wikliny. W końcu zmarznęta poszłam do domu. Ojciec wrócił z pracy, siedział na wersalce, moczył zziębnięte nogi w ciepłej wodzie z solą i strugał szałwik z pianki polimerowej. Po cichu, tak aby mnie nie zauważył, wdrapałam się po drabinie na strych, zakopałam się w sianie i próbowałam znaleźć jakiś ślad po Czarnym: strzęp sierści, piórko, skorupkę jajka.

– Co tam robisz na górze w taki ziąb?! – zawołał ojciec.

– Czekam na Czarnego, tato. Nie ma go już trzy dni.

– Złaż, bo zamarniesz. Chcesz, to upieczemy kartofle w popielniku.

– Nie zejść, dopóki Czarny nie wróci.

– No złaż. Wiem, co się z nim stało.

Zbiegłam po drabinie tak szybko, jakbym z niej sfruwała. Całe szczęście, że o najniższe szczeble oparty był worek owsa, bo spadając, wybiłabym sobie ostatnie mleczaki. Usiadłam w kącie przy choince i czekając na wiadomości o Czarnym, miętoliłam z nerwów podeschnięte świerkowe igiełki, ale ojciec milczał. Domalował ostatni jaskrawożółty pasek na spławiku, odłożył go na „Trybunę Ludu” przy piecu i usiadł naprzeciwko mnie.

– No... jak by ci tu.... – zaczął. – Trzy dni temu Czarny chciał wyciągnąć łeb ryby z pułapki na piżmaka i utopił się w stawie – wyrecytował jednym tchem i spojrzał na mnie zaniepokojony.

Położyłam się na wersalce i odwróciłam do słomianki. Przez następny tydzień do nikogo się nie odzywałam, tylko szeptałam coś do siebie. Niby nie było w tym nic dziwnego, bo wszyscy w domu coś szepotali albo śpiewali pod nosem. Na przykład babcia nad stolnicą przy drobieniu klusek na zacierkę powtarzała *Litanie loretańską*; „Matko Jakaśtam, Matko Jakaśtam” szeptały za nią ściany i szklana kura na jajka; „Matko Jakaśtam, Matko Jakaśtam” powtarzały makatki, lustra, wystające sprężyny z wersalki ustawionej na czterech brzoźowych kołkach; ojciec nucił piosenki Presleya i więzienne ballady, jak *Czarny chleb*, *czarna kawa*, improwizując na liściu lipy albo na bandžo; mama śpiewała „Siadła pszczołka na jabłoni” ale tylko wtedy, kiedy była zdenerwowana; dziadek zaczynał wydobywać rano kamień wapienny w kamionce od zakazanej piosenki „Pierwszego września Hitler zuchwałły świat zawojować obiecały”. Ale gdy ja gadałam lub śpiewałam do siebie, wszyscy zerkali na mnie zdziwieni, a mama podawała mi na łyżeczce coraz więcej kropli milocardinu.

W drugi tydzień ferii siedziałam przy oknie i podlewałam pelargonie

ostudzonym wywarem z mięty. Bolał mnie brzuch, bo w tajemnicy przed rodzicami i z tęsknoty za Czarnym zjadłam płaty wapna ze ściany i frędzle z narzuty.

Od mojego ciepłego oddechu między kryształowymi paprociami szronu na szybie powstała szparka. Wyglądałam przez nią na podwórko. Po godzinie zaskrzypiała furta. Usłyszałam głosy przyjaciół z klasy – Justyna i Wielki Witek zagadywali mamę, która wysypywała popiół z popielnika na ścieżkę, czy nie wybieram się dziś na rekolekcje do bazyliki Świętego Antoniego.

– Wiolka chyba nie pójdzie z wami – doszedł mnie zachrypnięty głos matki. – Boli ją brzuch.

– Ale psze pani, dziś po rekolekcjach będzie loteria – przerwał jej Wielki Witek.

– Jaka loteria?

– No, losowanie poświęconej figury – wyjaśniła Justyna.

– To może sami jej o tym powiecie?

– Nie muszą mi nic mówić. – Wysłałam na dwór opatulona po uszy wełnianą chustą. – Idę z nimi.

Mama wyglądała na zdziwioną moim nagłym ozdrowieniem, ale nic nie powiedziała. Pogrzebała gumakiem w ciepłym popielisku, wokół którego lśniło zakole brunatnej trawy, podniosła okopcony gwóźdź, odrzuciła go w kierunku hałdy piasku i zawróciła do domu.

Po południu elektrownia Łagisza ogłosiła przez radio dziesiąty stopień zasilania. W całej parafii wyłączono prąd i w kościele było zimno jak w psiarni. Ponad setka dzieci wysyłała obłoczki pary pod sklepienie, gdzie, jak w balatońskim jeziorze, pływali opaśli święci. Tylko kilka świec przy ołtarzach oświetlało trzy nawy. Widelki zachodzącego słońca przebijały glinianego Jezusa, który stał na cokole w błękitnej szacie z sercem oplecionym koroną cierniową. Stałam w bocznej nawie i obserwowałam

mysz błądzącą w labiryntach połączonych stiuków.

Pod koniec rekolekcji wrzuciliśmy kartki z pieczętkami parafii do drewnianej urny. Kilkuletnia dziewczynka przebrana za anioła wybrała jeden los i podała go wikaremu. Zapadła cisza. Włączyli prąd. Światło raziło nas w oczy. Szum elektrycznych dmuchaw spłynął na kościół jak potop. Ksiądz wyrecytował moje nazwisko. Echo jego głosu odbiło się od wotów. Z wrażenia połknęłam gumę do żucia, którą dostałam od Wielkiego Witka. Organista zaśpiewał *Barkę*: „O Panie, to Ty na mnie spojrzales. Twoje usta dziś wyrzekły me imię”. Dzieci rozstąpiły się. Justyna wypchnęła mnie na środek kościoła. Kroczyłam w złotej poświacie aż do samego ołtarza. Wikary podał mi stulę do ucałowania, a potem posążek Jezusa. Ktoś złapał mnie za sznurek od rękawiczek i poprowadził na korytarz. Wysłałam na dwór w asyście dzieci z Hektarów, zapominając o zamoczeniu palców w święconej wodzie.

Zawinęłam figurę w wełnianą chustę i na zmianę z Justyną i Wielkim Witkiem taszczyliśmy ją o zmroku cztery kilometry na Hektary. Bryłki zamarniętego śniegu wpadały nam do kozaków. Ręce mieliśmy zziębnięte, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Byliśmy tak podekscytowani wygraną, że żegnaliśmy się przed wszystkimi kapliczkami, świętym źródłem, a Wielki Witek przeżegnał się też przed willą dyrektorki naszej podstawówki, tak na wszelki wypadek, gdyby przez dziurę w ogrodzeniu wyskoczył jej doberman.

Pożegnałam się z przyjaciółmi przy studni i pobiegłam gościńcem na podwórko. Postąpiłam chwilę na ganku i odwinęłam figurę z chusty. Weszłam do jasnej izby jak ksiądz po kolędzie, postawiłam Jezusa na stole. Akurat w naszym domu była wieczornica wyskubków i wszystkie kobiety, które pomagały babci drzeć pierze, zaniemówiły na mój widok. Po chwili odłożyły przetaki z puchem na krzesła, uklękły na podłodze zasypanej białymi stosinami piór i zaczęły odmawiać modlitwy. Nie

zdążyły jednak zmówić dwóch dziesiątek różańca, gdy do naszych okien zapukali ich zaniepokojeni mężowie.

Późno w nocy, gdy wszystkie kobiety porozchodziły się do domów, przez uchylone drzwi słyhać było spokojne oddechy śpiących rodziców, a w piecu przygasał ogień, przeniosłam figurę do stołowego i ustawiłam ją na krochmalonej serwetce, która do tej pory była siedliskiem szklanej kury na jajka i zdechłych much. Owinęłam się pierzyną, bo w lutym osiemdziesiątego pierwszego był straszny ziąb, i tak długo stałam na baczność w ciemności, aż posąg uniósł się lekko nad serwetką. Wtedy zebrałam się na odwagę i zapytałam Jezusa, czy nie mógłby wskrzesić mojego Czarnego.

STOLICZKU, NAKRYJ SIĘ

Obudziłam się o świcie i spostrzegłam jakąś postać skradającą się do pokoju. To był ojciec. W pelerynie przeciwdeszczowej i gumiakach wyglądał jak tajemniczy Don Pedro. Przeklął skrzypiące zawiasy w drzwiach. Nasze oczy spotkały się w półmroku. Ojciec położył palec na ustach, dając mi do zrozumienia, żebym była cicho i nie ściągnęła matki, ale matka już dawno nie spała. Wiedziała, kiedy ojciec wraca w niedzielę z ryb. Trzaskała garnkami w kuchni i rozpałała pod blachą. Ojciec rozebrał się, usiadł na wersalce, włożył do garneczka grzałkę i natychmiast zasnął. Woda tańczyła, pryskała na sufit i skraplała się na stół, gdzie w szczelinach krzepła krew preparowanej w tamtym tygodniu łośnicy. Po kwadransie do pokoju weszła matka.

– Rysiek, wstań. No wstań – szeptała, gdy ojciec właśnie gonił we śnie dorodnego jelenia.

– Hm, hm... – mruczał. – Gdyby go tak wyprawić i wystawić na ganku. Cała wieś przyszłaby oglądać.

– Rysiek, jajecznicza stygnie. Po co szykowałam?!

Z marzeń wyrwał go podniesiony głos. Zdążył jeszcze zobaczyć między krzakami migotanie złotych włosów żony. Wyglądała jak ta święta Kunegunda, która zakochała się w jeleniu.

– A ta skąd się tu wzięła? – Przetarł oczy. Między jawą a snem zdawało mu się, że na udach wyrosły mu sosnowe igły, a w butach ostrężyny. To dziwne, ale kiedy się ocknął, poczułam zapach lasu w pokoju. Ojciec usiadł i kiwał się nad talerzem, jakby łowił w nim ryby. – Pewnie kilo ałunu by trzeba i kilka metrów drutu.

– Znowu to wyprawianie? Nie mów, że kolejną padlinę do domu przywlokłeś. Już trzy na ganku sztywne leżą. No, na co ci to? Te wszystkie zdechlaki. Dom to nie leśniczówka. Wiolka od kleju chodzi jak pijana.

Ojciec uśmiechnął się pod wąsikiem i pocałował matkę w policzek. Zaprowadził ją na ganek, otworzył komodę, z której wypadły sztywne szpony wypatroszonych zajęcy, bażantów, kun, jastrzębi, myszołowów, pustulek.

– No zobacz. – Wyciągnął zdechłego jastrzębia, rozłożył w powietrzu jego lekko zeszywniałe, granatowe skrzydła i przyglądał się im z podziwem. – To cudo mam wyprawić dla dyrektora papierni. Jak się dobrze spiszę, to może podwyżkę dostanę. To ostatni raz. Obiecuję! Wiesz, że nie potrafię bez tego żyć. Cygańska krew. Ptaki preparował mój dziadek Szydło, ten, co mnie wychował, a pradziad woził skórki na handel do Siewierza.

Matka zmrużyła zielone oczy. Argument wyższej pensji widocznie do niej trafił, ponieważ zmieniła ton.

– Dobra, dobra, ale na tym ptaszysku masz skończyć. Resztę wyprawiaj w stodole!

Potem wróciła do kuchni, gdzie zaczęła opalać nad piecem oskubaną kurę. Ogień buchał między rozsuniętymi fajerkami. Swąd palonej skóry i gazet wypełnił dom.

Usłyszałam szelest nylonowej podomki. Mama ściągnęła ze mnie ciepłą pierzynę, ułożyła ją przy łóżku na złączonych krzesłach. Chociaż było lato, w niedzielę nie wietrzyła pościeli na płocie, bo jak mówiła, wstyd wystawiać kłamoty na dwór w święto.

Kiedy się umyłam i ubrałam w bluzkę z bufiastymi rękawami, kraciatą spódnicę za kolana i podkolanówki, babcia zawoła mnie do swojej izby. Wyjęła spod siennika portmonetkę, dała mi jeden banknot na tacę, a potem sprawdziła, czy spłotłam rozwichrzone włosy w warkocz, i

wygoniła mnie do kościoła.

Szłam kamienną drogą lekko zaspana i żułam suszone gruszki. Przy remizie zatrąbiła malowana nyska lodziarza. Spojrzałam na banknot i modliłam się w duchu, żeby w tym tygodniu nie ulec pokusie i nie kupić za pieniądze na tacę trzech gałek lodów, a potem nie musieć się z tego spowiadać.

– No proszę, kogo my tu mamy, córka Rysia. – Lodziarz się uśmiechnął.

– Nie wiesz, jak tam mój jastrząb? Wyprawiony już?

Wzruszyłam ramionami.

– Dwa dni temu ojciec go podklejał, to pewnie niedługo będzie.

Odebrałam lody i skręciłam obok świętego źródła w kierunku trasy, która przecinała drogę prowadzącą do bazyliki Świętego Antoniego.

Po sumie chciałam uciec do skrytki w pustakach, poczytać o Tytusie, Romku i A'Tomku, ale znajoma babci jechała obok na rowerze i bacznie mnie obserwowała. W drodze do domu zebrałam dwie kanie, które rozsiały się w rowie, dokładnie tam, gdzie sąsiad wylewał gnojówkę. W domu zamoczyłam czubajki w mleku, przykryłam je pokrywką i wstawiłam do chłodnej sieni; później usiadłam przy stole zastawionym talerzami z makaronem, położyłam na nim głowę i poczułam pulsowanie drewna. W jego szparach i sękach wyprawiano chrzciny, stypy, imieniny, korniki grały w dwa ognie ziarnkami maku, które opadły ze skórek świeżo upieczonego chleba.

– Gdzie się pokładaś, Wiolka? Włosy wlecą do makaronu – upomniała mnie matka. Obudziłam się. Złote światło ślizgało się po segmencie, w kryształach, szklanej rybie, kamionkowych filiżankach.

Gdy w towarzystwie zawsze głodnych kur, kaczek i indyków matka skończyła szorować piaskiem przypaloną patelnię, wykradła z kieszeni marynarki ojca kilka klubowych i gdzieś znikła. Pozmywałam resztę naczyń po obiedzie i poszłam szukać w pokrzywach lilipucich jajek, bo

w niedzielę zawsze miałam ochotę na kogel-mogel, który nabierałam na łyżeczkę i maczałam w świeżo zaparzonej kawie.

Kiedy wróciłam, ojciec zdjął obrus ze stołu, rozłożył na nim gazety, umył ręce dokładnie jak chirurg i zaczął nacinać kozikiem brzuch ptaka, uważając, aby nie pobrudzić krwią lśniącego puchu. Ponad godzinę pozbywał się wnętrzności, które wrzucał do cynowego wiadra stojącego pod stołem. Jastrząb, wypatroszony z bladoróżowego mięsa, kości, tłuszczu, leżał na gazecie. Ojciec ostrożnie wywrócił go na drugą stronę i nacierał skórę ałunem, który trzymał w słoiku po ogórkach. Punktem kulminacyjnym preparacji było przygotowanie drucianej konstrukcji mającej zastąpić szkielet ptaka. Czynność ta wymagała od ojca sporej koncentracji, więc robił sobie przerwę, sięgał do marynarki po papierosy i kazał mi zaparzyć mocnej herbaty z pięcioma łyżeczkami cukru, bo zawsze w czasie wyprawiania lubił pić taki ulepek. Pałac papierosa, mrużył oczy i badawczo spoglądał na ptasie ścierwo suszące się na rurce jeszcze ciepłego pieca, potem wyciągnął spod łóżka swoją skrzynkę z narzędziami i zaczynał przycinać obcęgami złotawy drut. Druciany stelaż podobał mi się bardziej niż śmierdzące skrzepłą krwią kości. Po nawleczeniu na drucianą konstrukcję tego, co pozostało z jastrzębia, ojciec wypełnił go watoliną, w miejsca mniej dostępne wcisnął pęsetą watę. Wreszcie zaszył skórę cienkimi nićmi i podkleił nastroszone pióra butaprenem. Na koniec włożył do oczodołów odpowiednio pomalowane szklane kulki. Drucikami wystającymi ze szponów przymocował jastrzębia do konara brzozy, na którym wypalił gorącym pogrzebaczem swoje inicjały – RR.

Wybiła siódma. Ojciec kazał mi posypać blat solą i dokładnie wyszorować, a sam poszedł z farbkami na ganek, gdzie świeciła dwusetka, zrobić ostatnie podmalówki na kukle ptaka. Zaraz po tym, gdy przykryłam stół obrusem, wróciła do domu matka z koszem węgierek. Na ich widok

zrobiliśmy się głodni. Ona jakby czytała w naszych myślach i zawołała mnie do kuchni, żebym pomogła jej przyszykować kolację. Kroiłam chleb i smarowałam go paprykarzem. Gdy wróciłam do stołowego z talerzami kanapek, ojca nie było już przy stole, drzemał na wersalce. Jastrząb z nienaturalnie rozpostartymi skrzydłami wzbijał się nad nim do lotu.

WIECZORNICA PROPORCZYKÓW

W roku, w którym poszła fama na Hektarach, że papież przejedzie szosą obok wioski, ojciec przejął rządy na gospodarce i ku niezadowoleniu babci zaczął wprowadzać swoje reformy, zamieniając stopniowo nasz dom i obejście w nieokiełznany zwierzyńiec. Pojawiły się w nim nie tylko ule, klatki ze szczygłami, kanarkami i królikami, czy też gołębnik na strychu, w którym z jaj delikatnych jak pingpongowe piłeczki wylęgały się pokraczne pisklęta. Na dodatek w połowie lutego, zaraz po moich urodzinach, chcąc mnie pocieszyć po utracie Czarnego, tata przyniósł pod kurtką piszczącą i rozmokłą kulkę watoliny, która przy piecu zaczęła stopniowo zmieniać się w kilkutygodniowego owczarka podhalańskiego. Nazwaliśmy go Miśkiem. Na wiosnę ojciec załatwił koparkę i poszerzył staw za domem od strony szosy. Matka nie pozwalała mi się tam zbliżyć, ale gdy wychodziła do pracy, wymykałam się nad tę jakby gliniankę w kształcie trapezu. Kuciałam przy hałdzie wykopanej ziemi i przytrzymując się kikutów pobielonych drzewek i pęczków tataraku otoczonych skrzekiem, przyglądałam się marszczonej przez nartniki wodzie.

Pewnej niedzieli, tuż przed przyjazdem papieża, ojciec podał mi lornetkę i kazał obserwować pole.

– Nadarzyła się okazja, to wykupiłem ci numer za dwie półlitrowki – wyszeptał, wskazując najdalszą łąkę nakrapianą kwiatami mleczków. – Tam zbudujemy nowy dom.

Nie wiedziałam, na czym polegało to „wykupienie numeru” ale

domyśliłam się, że tata od powrotu z wojskowego aresztu mieszkał w dwóch domach: jeden kamienny i zrujnowany chwiał się na wapiennych fundamentach, a drugi czysty, ceglany z centralnym ogrzewaniem, strychem pachnącym żywicą i łazienką wyłożoną błyszczącymi kafelkami aż po sam sufit powstawał latami w jego głowie.

Wieczorem zauważyłam, że babcia naszykowała ciasto i umyła podłogę wodą z octem, a to zwykle zapowiadało rychłe nadejście gości. I rzeczywiście wkrótce zaczęły się schodzić kobiety ze wsi: dwie babci siostry, Zofia i Salomea, prawie wszystkie nasze sąsiadki z Hektarów i, co mnie zdziwiło, krawcowa Stasikowa, która rzadko do kogokolwiek zaglądała, bo była zarobiona po uszy. Razem z moją mamą w domu było chyba ze dwanaście kobiet. Wszystkie przyniosły przetaki przykryte chustkami i płócienne woreczki.

Pomyślałam, że to jakaś wieczornica wyskubków, choć na Hektarach nikt nie skubał pierza w czerwcu. Jednak zamiast pierza kobiety zaczęły wyrzucać z przetaków skrawki kolorowych materiałów, sukien, podomek, kapek chrzcielnych, zasłon, makatek, frędzli pozostałych po Turkach Wielkanocnych, co tam która miała w domu, i pod kierownictwem Stasikowej szyły proporczyki, mające ozdobić poboczne szosy na przyjazd papieża Jana Pawła u do Polski.

Gdy sznur proporczyków był już prawie gotowy, wił się po dwóch izbach, sieni i na ganku, babcia zaczęła rozkładać na parapetach i kredensie poczęstunek, a mama wyjęła z kuchennej skrytki owiniętą w szmatkę jajcówkę.

– No to co, baby, wypijemy po jednym za zdrowie Ojca Świętego? – zaproponowała. Dwa razy powtarzać nie musiała. Kobiety odłożyły naparstki, nici, szmatki, rozsiadły się wygodnie i popijając swojski ajerkoniak, snuły swoje opowieści.

– Odkąd stary umarł, nie chce mi się już topić karmelu, żeby usuwać

nim meszek pod nosem – zaczęła się zwierzać swoim niskim głosem krawcowa, obrębiając ostatni bok proporczyka. – Nie szoruję już pięt popiołem, nie płuczę włosów w rumianku, nie śnię nad ranem o spadaniu z drabiny. Nos mi się wydłużył, piersi obwisły, a to znaczy, drogie baby, że wkrótce odleczę. – Zaśmiała się chrypliwie.

– Ej tam, chcesz nas tu zostawić? I kto nas poratuje w potrzebie, kto nam będzie szył na wesela i komunie? Tyle już bez chłopa żyjesz, to jeszcze trochę wytrzymasz sama na tym świecie – powiedziała babcia.

– A twoja wnusia co? Przyjechała już do niej ciotka z Ameryki? – zwróciła się do babci jej starsza siostra Salomea.

– A bo ja ci to wim?

Kobiety przyglądały mi się badawczo, a ja się zaczerwieniłam po same uszy, bo nic nie rozumiałam z ich tajemniczej pogawędki o ciotce z Ameryki, choć intuicyjnie czułam, że chodzi tu o coś ważnego. Zdjęłam z kolan Miśka, który pod stołem zaczął się bawić gałgankami, i zastanawiałam się, jaka krewna miałaby mnie odwiedzić. Może chodzi im o stryjenkę dziadka, która podczas epidemii czerwonej schowała carskie ruble do pończoch i uciekła do Kanady? No ale przecież ona miałaby teraz ze sto dwadzieścia lat.

– Szyjta, baby, szyjta, bo się guzdrzecie i pierdoły popychacie, a zara chłopy przyjdą po proporczyki – uratowała mnie z opresji druga siostra babci, Zofia.

Ktoś zapukał do drzwi i zrobiło się zamieszanie na ganku. Trzej panowie załadowali do jutowego worka sznur proporczyków i poszli zawiesić go przy trasie. Jak się później okazało, po drugiej stronie krzyżówki czekali ci, których zadaniem było zniszczyć dekorację.

Rano pobiegłam z Miśkiem na szosę przywitać papieża chorągiewką z nadrukiem godła Watykanu, którą kupiłam w kiosku. Z kilometrowego sznura proporczyków zostały tylko ubrudzone błotem strzępy, które mokły

w rowie obok petów i butelek po wódce. Czekałam na papamobil kilka godzin. Deszcz wciąż siąpił. Misiek zaczął wyglądać tak jak w dniu, kiedy tata przyniósł go do domu. Asfalt lśnił jak skórki bakłażanów. Od strony Katowic przejechał oklejony podobiznami Ojca Świętego spóźniony autokar z pielgrzymami na Jasną Górę, potem mignęły mi przed oczami biało-niebieskie uniformy grupy kolarskiej juniorów z Poraja, Gienek Korbajniasta, który zwykle o tej porze przychodził na obiad do Jowisza, dwa traktory, ciężarówka z napisem „Ubieraj się w CDT”. Gdy rozpadało się na dobre, schowałam się z Miśkiem pod daszkiem zajazdu, wdychając zapach gołąbków i bigosu, a pani bufetowa dała mi znać, żebym poszła do domu na obiad, bo w telewizorze mówili, że papież rano poleciał do Częstochowy helikopterem.

DZIEWCZYŃKA Z FARBAMI

W połowie lipca ojciec wrócił wcześniej z pracy i podczas zmieniania lepów na muchy przy żyrandolach powiedział mamie, że w Polsce za parę dni skończy się stan wojenny. Ja miałam wtedy dziewięć lat i chociaż pamiętałam dzień bez *Teleranka*, to i tak nie rozumiałam, o czym tata mówi. Zastanawiam się, dlaczego o tym stanie nie wspominał dziadek, który był specjalistą od dwóch poprzednich wojen, znał wszystkie zakazane piosenki i jaskinie w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, gdzie się ukrywał po ucieczce z obozu. Zdawało mi się, że dziadek interesował się polityką, bo pewnego razu, kiedy nikogo nie było w domu, zawołał mnie i babcię do kuchni, ułożył dwa ziarna kawy na banknocie dziesięciozłotowym i gdy generał Bem zaczął przypominać Jaruzelskiego, dziadek tak się zaśmiał, że omal nie poodpinały mu się żabki w szelkach.

Tej nocy ojciec, który należał do straży przemysłowej, nie poszedł z opaską na ramieniu na dyżury pod remizę i budynki geesu. Rozłożył narzędzia na linoleum i zaczął wyplatać z miedzianego drutu pułapkę na piżmaki, które od wiosny prowadziły z nim wojnę podjazdową nad naszym stawem. Gdy pułapka zaczęła wyglądać jak złota klepsydra, odważyłam się zapytać tatę, kto był jego wrogiem w tym stanie wojennym, ale on spojrzał na mnie przestraszony i powiedział, że jak jeszcze raz zadam mu to pytanie, to mi spuści lanie.

Dziesiątego sierpnia poszliśmy pieszo cztery kilometry na odpust do kościoła Świętego Wawrzyńca w Cynkowie. W dwóch rzędach straganów ustawionych nieopodal drewnianego kościoła kupiłam góralski domek barometryczny przepowiadający pogodę: z góralką wyglądającą na deszcz

i góralek na słońce, sznurek obwarzanków i los na loterię. Los ukryłam w kieszeni sukienki i schowałam się za strzelnicą, żeby nie pokazywać go innym dzieciom, tak na wszelki wypadek, gdybym wygrała na przykład emaliowy garnek albo figurkę buldoga z kiwającą się głową. Okazało się tymczasem, że mój numerek wskazywał na farby olejne marki Old Holland Classic Colours. Podekscytowana pobiegłam do rodziców, którzy wraz ze znajomymi grali przy karmniku dla saren w tysiąca, i pokazałam im swoją wygraną. Wujek Lolek poklepał ojca w plecy i powiedział rozbawionym głosem:

– No, Rysiu, artystka ci rośnie.

Przed północą wróciliśmy pieszo przez pola do domu. Tata położył się w garniturze na wersalce i wygrywał ustami na liściu lipy więzienne ballady. Mama i Misiek, spuszczone specjalnie na tę okazję z łańcucha, byli jego wierną publicznością. Ja zamknęłam się w stołowym, zrobiłam z firanki prowizoryczną moskitierę i z namaszczeniem rozłożyłam na pierzynie siedemnaście tubek farb. Siedemnaście, bo jednej brakowało. Angielskie nazwy kolorów kojarzyły mi się z odległymi planetami: *cyclamen*, *ultramarine*, *umber*. Próbowałam wycisnąć trochę farby na słomiankę, ale z tubek wypływały jedynie bezbarwne krople lepkiego płynu. Okazało się, że farby, które ksiądz z parafii Świętego Wawrzyńca przekazał na loterię, pochodziły z zachodnich paczek-darów i były przeterminowane.

Po wakacjach wróciłam do szkoły i zapomniałam o malowaniu. Do czasu, aż zauważyłam w gablocie w świetlicy ogłoszenie o konkursie plastycznym. Temat brzmiał „Moskwa twoimi oczami”; termin: koniec października 1983 roku. Oczywiście musiałam wziąć w nim udział. W styczniu tego samego roku wygrałam konkurs wojewódzki pod tytułem „Zagrożenia w twoim gospodarstwie” Namalowałam stonkę, która wychodzi z butelki po coca-coli. Nikt mi nie uwierzył, ale naprawdę

widziałam, jak dziadek zbierał stonkę do takiej butelki. Jurorzy na szczepku wojewódzkim uznali, że mój rysunek „w sposób głęboko metaforyczny przedstawia krucjatę imperialistycznej stonki”. Gdyby nie to, że ojciec pochwalił się kolegom w fabryce, że jest dziesiąta woda po kisielu Cyganem Sinti, może moją pracę drukowaliby na znaczkach. Cała sprawa i tak zakończyła się dla mnie bardzo pomyślnie. Mama przestała prowadzić mnie wieczorami na lekcje religii do chaty pod las, a od organizatorów konkursu dostałam plecak i bombonierkę.

Po trzech tygodniach od ogłoszenia wyników konkursu „Zagrożenia w twoim gospodarstwie” przyszedł list do szkoły. Dyrektorka ogłosiła na apelu, że specjalna podkomisja komisji do spraw krzewienia kultury w województwie śląskim deleguje mnie w zimowe ferie na plener malarski do Lublińca. To była zupełna porażka. Cała szkoła naśmiewała się ze mnie, że jadę na tydzień do wariatkowa, bo w pobliskim Lublińcu znajdował się zakład psychiatryczny. Na dodatek ośrodek wypoczynkowy, w którym mieliśmy kwatery, położony był obok jednostki wojskowej, kiedy więc chodziliśmy po lesie w poszukiwaniu inspiracji, żołnierze strzelali na poligonie, a ślepaki świszczały mi nad głową i nie mogłam się skupić. Dwutygodniowy plener malarski okazał się świetną przygodą, ponieważ mieliśmy w świetlicy satelitę i magnetowid. W czasie wolnym od oglądania filmów namalowałam cykl prac przedstawiających zrujnowaną lubliniecką gorzelnię, ale tym razem dostałam tylko wyróżnienie i zamiast wymarzonego zestawu farb olejnych przywiozłam do domu dyplom i album nieznanego mi wtedy rosyjskiego malarza Wasilija Surikowa^[2].

Pomyślałam, że do trzech razy sztuka, i postanowiłam jeszcze raz wysłać pracę na konkurs pod tytułem „Moskwa twoimi oczami”. Nie

[2] Wasilij Surikow – rosyjski malarz, tworzył wielkie realistyczne kompozycje o treści historycznej, malował też sceny rodzajowe z życia ludu rosyjskiego.

wiedziałam, jak wygląda stolica Kraju Rad, a jej zdjęcia w czytankach z podręcznika do nauki rosyjskiego były dosyć niewyraźne. Na szczęście pani Walo, wychowawczyni i opiekunka koła plastycznego, przyniosła mi kolorowe pocztówki z Kremlm i cerkwią Wasyla Błogosławionego. Rozłożyłam gazety na stole i malowałam panoramę Moskwy do drugiej w nocy, aż nastąpiła przerwa w dostawie prądu. W szkole na długiej przerwie zostawiłam tornister na podłodze. Usiadł na nim Wielki Witek i z zapasowych wkładów do pióra, które trzymałam w tej samej przegródce, co rysunek na konkurs, wylał się cały atrament. Zbladłam. Projekt trafił szlag. Poszłam do wychodka, rozmasałam chusteczką atrament na kartce. Wyglądało to tak, jakby stolicę Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich pochłaniał lepki, indygowy ocean. Położyłam rysunek przy piecu kaflowym, żeby wysechł. Na następnej przerwie zapakowałam pracę do szarej koperty i oddałam pani Walo. Nauczycielka nawet nie zajrzała do środka, podstemplowała rysunek godłem wojsławickiej szkoły podstawowej i pobiegła na pocztę.

Po miesiącu zjawiał się w szkole jakiś dziwny mężczyzna. Nic w nim do siebie nie pasowało: miał łagodne rysy twarzy i spiczaste uszy. Ubrany był w czarny golf i jasną marynarkę, spodnie zaprasowane w kant i zabłocone buty. Poszedł prosto do gabinetu dyrektorki.

– Rogalówna!

Zostałam wezwana na dywanik.

Pobiegłam zadowolona, bo myślałam, że znowu dostałam jakąś nagrodę. W kłębach dymu papierosowego spostrzegłam zapłakaną twarz pani Walo. Na biurku leżała moja *Moskwa*. Dyrektorka wyprowadziła z pokoju roztrzęsioną nauczycielkę.

– Wiesz, drogie dziecko – powiedział nieznajomy mężczyzna, kiedy wszyscy wyszli z gabinetu – przyjechałem tutaj specjalnie aż z województwa, żeby nagrodzić twoją pracę.

Wyobraziłam sobie, że wręczy mi nowe farby olejne i tabliczki wedlowskiej czekolady mlecznej z orzechami albo torebkę czekoladowych michałków. Przełknęłam ślinę, a on rzeczywiście wyjął z teczki czekoladę. Rozwijał powoli sreberko. Aksamitny zapach kakao rozlał się po gabinecie.

– No, poczęstuj się. – Podsunął mi pod nos zbeczczoną tabliczkę. Wzięłam trzy kostki. Burczało mi w brzuchu. Byłam głodna, ponieważ rano nie zjadłam śniadania.

– Byłaś kiedyś w Moskwie, Wiolu?

– Nie.

Czekolada przyjemnie rozpływała się w ustach.

– A więc kto ci podsunął ten... ciekawy pomysł? Może rodzice albo opiekunka koła plastycznego, ta, jak jej tam, pani Walo?

„Nie zaczyna się zdania od »a więc«, – pomyślałam.

– Sama sobie tak wyobraziłam Moskwę, psze pana. – Postanowiłam nie wspominać o przygodzie z Wielkim Witkiem, atramentem i tornistrem.

– A czemu tak katastroficznie?

– Jak?

– Czemu tak ponuro?

„Bo nie ma dżemu”. Westchnęłam i przypomniałam sobie zapłakaną twarz pani Walo. Nie ufałam temu mężczyźnie, ale sięgnęłam po kolejną kostkę czekolady.

– Jeśli powiesz, kto podsunął ci ten pomysł organizatorzy konkursu zafundują ci wycieczkę do Moskwy. I co ty na to? Pomyśl tylko, zobaczysz Kreml.

Spojrzał na mnie chytrze i uśmiechnął się, pokazując krzywe zęby. Męczyła mnie ta rozmowa. Zaczęłam przestępować z nogi na nogę. Mdliło mnie od czekolady, a na dodatek ten mężczyzna chodził w kółko i dalej coś mrucał. Kiedy podsunął mi rysunek pod nos, rozległo się

pukanie. Do gabinetu zajrzała jakaś kudłata głowa.

– Szefie, mam złą wiadomość. Przysięgam, poszłem tylko na chwilę do kibelka, wracam, a tu dwie opony przebite.

– Nie przeszkadzaj mi teraz, przecież wiesz, co robić, zawsze przebijają, załóż zapasowe.

– Tak jest, się robi.

Kudłata głowa zniknęła, a mnie zrobiło się słabo. Usłyszałam pytania: „Kto?”, „No, kto?”, „Kiedy?” „Po co?”.

Pochyliłam się nad biurkiem i zobaczyłam swoje blade odbicie w wypolerowanym blacie. Na rysunku w najciemniejszych zakątkach placu Czerwonego usiadła mucha i chodziła swobodnie po zalanej atramentem Wieży Spasskiej. Poczulałam skurcz w żołądku. Moje brunatne wymiociny pokryły jasną część miasta.

Nie pamiętam dokładnie, co się działo później. Zawołali higienistkę, posadzili mnie w fotelu i poili wodą wymieszaną z gorzkimi kroplami żołądkowymi. Spojrzałam na godło Polski zawieszone nad framugą drzwi. Orzełek bez korony rozmywał się na czerwonym tle. Kiedy doszłam do siebie, woźny odprowadził mnie do domu. Na podwórku odgoniłam tornistrem syczące gęsi, weszłam na ganek, a potem przez zalatującą mysimi odchodami sień do kuchni. Skinęłam głową matce na przywitanie, rzuciłam tornister obok kredensu, wdrapałam się po drabinie na strych, położyłam się na workach z pszenicą tuż przy klatce z gołębiarnią i pomyślałam, że w niedzielę pojedę do Olsztyna i tak jak dziadek znajdę tam swoją jaskinię.

W ciągu następnych tygodni dyrektorka zlikwidowała w szkole kółko plastyczne, a ja nie brałam już udziału w żadnych konkursach malarskich. Czasem w tajemnicy ozdabiałam pani Dorocie z sąsiedztwa listy do jej chłopaka, który stacjonował w jednostce wojskowej w Lublińcu. Wielkiemu Witkowi namalowałam plakatówkami czaszkę na suficie za

trzy etykiety z pudełek po zapalniczkach, które wtedy zbierałam.

Dziesiątego grudnia Lech Wałęsa dostał Pokojową Nagrodę Nobla, a ja zostałam po lekcjach na próbę przedstawienia gwiazdkowego. Tata miał mnie odebrać o osiemnastej, ale autobus, którym zwykle wracał z papierni, nie nadjeżdżał. Stałam sama na przystanku i przestępowałam z nogi na nogę. Mróz zaczął tworzyć sopel z wody, która kapała z kranu przy remizie. W kiosku naprzeciwko szyby zaszyły szronem. Uliczne lampy migotały, migotały, aż w końcu zgasły. Kioskarka uchyliła drzwiczki, wystawiła głowę opatuloną czapką z lisiego futra.

– Dziecko, co tu ślęczysz tak sama? Idźże do domu, bo zamarniesz na tym mrozie! – krzyknęła.

Byłam bardzo głodna i zziębnięta, postanowiłam więc posłuchać kioskarki, nie czekać dłużej na ojca i wrócić do domu na skróty przez pola. Nie pomyślałam jednak, że będę musiała przedzierać się w ciemności przez zasy. Tuż przed polami pegeeru poślizgnęłam się, uderzyłam tyłem głowy o kamień, na koniec wpadłam w wielką zaspę i nie mogłam się z niej wygrzebać. Podczas szamotaniny w śniegu jeden but zsunął mi się z nogi. Mróz zaczął ścinać przemoczone rajtuzy. Palce u stóp zdrętwiały. Zrobiło się mi słabo.

Raptem stanęłam na placu Czerwonym ubrana w kubrak i karminową chustkę. Walonki miałam ubabrane błotem. W jesienny poranek cerkiew mieniła się w słońcu błękitem i złotem. Nie widziałam, po co tu przyszedłam z dziadkami i stałam przestraszona w tłumie. Odór końskiego łajna i ludzkiego potu mieszał się z zapachem rozgrzanego wosku. Złapałam babcię za rękę. W oddali kołysał się ktoś na szubienicy jak strzęp mokrej płachty. Babcia tak strasznie płakała, ukryła twarz w dłoniach, ściskając w rękę świeczkę, i nawet nie czuła, że gorący wosk spływa po jej dłoni.

Kiedy się ocknęłam, zdałam sobie sprawę z tego, że jestem na Hektarach, a nie w Moskwie i tylko przyśnił mi się jeden z obrazów

Wasilija Surikowa, ten o egzekucji strzelców. Wciąż leżałam w zaspie, ale nie było mi zimno i nie czułam bólu w palcach u stóp. Nagle dojrzałam błysk latarki.

– Szefie, wyratować, bo tu zamarznie?

Wydawało mi się, że usłyszałam głos kierowcy mężczyzny z województwa, tego, który kilka tygodni wcześniej wypytywał mnie w szkole o *Moskwę*. Poczułam zapach benzyny, wódki, papierosów. Ktoś wyciągnął mnie z zaspy i przeniósł na drogę. Tam po kwadransie znalazł mnie ojciec wracający z pracy, natychmiast opatulił swoim prochowcem i zaniósł na barana do domu.

Po północy mama pobiegła do sąsiada, który w piwnicy pędził bimber, i przyniosła dwie butelki. Trzy setki doprawiła esencją z herbaty i cukrem i podała tacie, który od momentu znalezienia mnie półżywej na drodze nie mógł się uspokoić; resztą bimbru nacierała moje nogi. Po zastosowaniu wszystkich możliwych kuracji – okładaniu łydek liśćmi podgotowanej kapusty, smarowaniu baranem i psim łojem – wróciło mi czucie w palcach u stóp.

OBRAZ NADCHODZI

Kiedy tylko proboszcz przeczytał w ogłoszeniach parafialnych, że obraz Matki Boskiej z bazyliki Świętego Antoniego odwiedzi nasze Hektary, matka razem z babką wzięły się do sprzątanía zapuszczonego domu: czyściły osmolone ściany, pastowały podłogi, wymiały śmieci spod łózek i pajęczyny z sufitu, polerowały denaturatem i gazetami wszystkie szyby, wymieniały skisłą słomę w siennikach, spryskiwały pokoje muchozolem.

– Nie można pozwolić, żeby robactwo gnieździło się w kątach, kiedy Przenajświętsza Panienska wchodzi w nasze progi – mówiła babka. Pomyła gazą listki wszystkich kwiatów, skropiła święconą palmą ganek i progi, żeby muchy omijały nasz dom. Muchy jednak miały gdzieś babcine prestidigitatorstwo i jak zawsze przelatywały przez dziury w firance zawieszanej na sznurku w drzwiach, i krążyły pod żyrandolem. Babcia wyjęła z szafy zawinięte w chustę kropidło oraz krucyfiks, w stołowym ustawiła stolik i przykryła go obrusem obszytym barwinkiem i frezjami, które matka przywiozła specjalnie na tę okazję ze szklarni z sąsiedniej wioski. Mnie ubrały w przyciasną komunijną sukienkę po kuzynce i kazały stać na baczność przy wypolerowanym na błysk segmencie.

Tymczasem obraz, umieszczony w skrzynce i ułożony na drewnianej lektyce, krążył po Hektarach. Za nim wlokła się dziwna procesja jak na poświęcenie pól. Między drzewami migała biała szata wikarego. Kaski strażaków puszczały zajączki. Co poniektórzy próbowali w ostatniej chwili zamiatać podwórka, wietrzyli izby, zaganiali drób do kurników. Dzieci gubiły się i odnajdywały. Nieprzywiązane i spragnione krowy

muczały na pastwiskach. Psy zrywały się z łańcuchów i, oszołomione niespodziewaną wolnością, biegały po wsi.

Późnym popołudniem wpadł do domu dziadek w zabłoconych butach i wrzasnął:

– Kuźwa, kobity, przewiążcie tom krowę, bo stanęła przy furtce i ludziom drogę zagradza.

– O Matko Przenajświętsza! Idą! Idą! Już ich widać na górze! – krzyknęła babka.

Ojciec, zatwardziały ateista, capnął z kuchni kawałek makowca i uciekł do stodoły. Po chwili na naszym podwórku zabrzmiała pieśń „Madonno, Czarna Madonno, jak dobrze Twym dzieckiem być” Pierwszy wszedł wikary, potykając się o próg, za nim tłum wlał się do ganku, do sieni, do kuchni, do stołowego i do sypialni. Strażacy wnieśli obszytą tiulem skrzynkę i postavili ją na przygotowanym ołtarzyku. Matka zapaliła świece i elektryczne światło, co mnie zdziwiło, bo raczej nigdy tego nie robiła za dnia. Po godzinie wikary pobłogosławił zebranych i razem z kościelnym wrócili fiatem na plebanię, ale w naszym domu dalej klepano koronki aż do zmroku. Matka nieśmiało zaczęła czytać z książeczki do nabożeństwa *Litanie loretańską*:

– Matko Nienaruszona, Matko Najmilsza, Matko Przedziwna, Matko Dobrej Rady, Domie Złoty, Arko Przymierza, Bramo Niebieska, Gwiazdo Zaranna...

Po wyjściu księdza wszyscy się odprężyli i zaczęli sięgać po ciasto, siadać na parapetach i na linoleum. Dzieci uciekły na dwór i bawiły się w rozsypanej pod płótem hałdzie piasku. Ktoś wypuścił z chlewa kury. Oparłam się o ścianę i żułam rąbek obrusu. Chociaż byłam przerażona nie na żarty, koniecznie chciałam zajrzeć do tiulowego pudła. Myślałam, że siedzi tam jakaś kosmitka, która z daleka pachnie woskiem, naftaliną i kurzem. Kiedy się wychyliłam, zgasło światło.

- Wyjebało korki.
- Za duże obciążenie?
- Może to Łagisza?
- Masz zapalki?
- Zapal świeczkę.

Szepty dobiegały z kuchni, z sieni, ganku, aż w końcu czar peregrynacji prysł. Świece wytopione podczas wielogodzinnej modlitwy pyrkaly, pyrkaly i w końcu też zgasły. Zaburczało mi w brzuchu. W półmroku pojedyncze postacie wymykały się na podwórko.

– Janek, zobacz no, co się stało z tym licznikiem! – krzyknęła do wujka elektryka jego żona. Usłyszałam rumor za zasłoną w sieni, metaliczny dźwięk przewracanego wiadra z moczem, śmiechy i przekleństwa.

– Wszystkie nasze codzienne sprawy... – zanuciła matka, żeby uratować sytuację, ale zawtórowało jej tylko kilka osób.

Pomyślałam, że nagły brak światła to sprawka ojca, który nie mogąc się doczekać kolacji, wszedł do sieni przez drzwiczki od strony chlewa i wykręcił korki w liczniku. Uśmiechnęłam się w duchu. Po kwadransie, zanim znowu zapaliło się rażące światło, znużeni ludzie zaczęli się rozchodzić do domów. Matka uklękła przed obrazem, przeżegnała się, następnie wygoniła nas ze stołowego, przykryła Przenajświętszą Panienkę firanką, żeby jej muchy nie obsiadły, zgasiła światło i poszła do kuchni szykować kolację.

ZIELONE ŚWIĄTKI

W maju osiemdziesiątego czwartego wybrałam się do kościoła z wiązką tataraku, którą rano zerwałam nad stawem i przybrałam wstążkami. Woda z bukietu kapiała na moje odświętne pantofle. Kościół zapachniał od tatarakowego ziela i mułu, jakby był wysychającym bagniskiem. Zakręciło mi się w głowie. Gdy proboszcz zaczął czytać o zesłaniu Ducha Świętego, kazalnica w kształcie łodzi odpłynęła z nim w nieznaną. Zsunęłam się z ławki na posadzkę. Wynieśli mnie na zewnątrz. Jakaś kobieta narysowała plwocinami krzyżyk na moim czole.

– Trzeba zawiązać jej czerwoną wstążkę we włosach i odczynić urok – zwróciła się do gapiów.

Po kilku dniach matka zapisała mnie na prywatną wizytę do doktora Kwietnia. Sześćdziesięcioletni lekarz miał twarz dobrotliwego Gucia, ale ja od razu go wyczułam, patrząc spode łba na jego fioletowawe wygolone policzki. Doktorek kazał matce zaczekać w przedpokoju, gdzie obok etażerki stał spory fikus, a mnie zaprowadził do gabinetu za parawan. Tam wytarł słuchawki stetoskopu o fartuch i stanął tak blisko mnie, że poczułam zapach jego perfum. Rozpiął rozporek, podszedł jeszcze bliżej i podał mi do ręki swojego penisa jak rurkę plasteliny. Odskokczyłam i z całej siły kopnęłam go w nogę. Cała kamienica usłyszała kwik zarzynanego wieprzka. Przestraszona mama weszła do gabinetu. Kwiecień zapiął rozporek i wyjrzał zza parawanu. Po chwili usiadł przy swoim biurku i zaczął zrzedzić, że jestem rozpuszczona jak dziadowski bicz, bo kiedy próbował zbadać moje węzły chłonne, bez powodu kopnęłam go w łydkę. Pokazał matce zaczerwieniony ślad. Nagle jednak stał się łagodny jak

aniołek, oświadczył, że raczej jestem zdrowa, ale mogę mieć anemię i stąd te omdlenia i nadmierna drażliwość. Podał matce skierowanie na badanie krwi.

– Gdy odbierze pani wyniki, proszę do mnie wrócić z córką.

Szłyśmy pieszo do domu. Popołudniowe słońce prześwitywało przez gałęzie brzoź rosnących przy drodze, zostawiało na kremowych konarach fioletowe stemple. Matka długo milczała. Przy Bożym Stoku zerwała witkę i podsunęła mi ją podnoś.

– Widzisz to? Jak jeszcze raz kogoś kopniesz, to spiorę ci tyłek, rozumiesz?

Następnego dnia dostałam silnej gorączki. Zostałam sama w domu i leżałam w łóżku, popijając wywar z kwiatów lipy. Przed południem włożyłam grzałkę do metalowego garnczka i zagotowałam wodę, a następnie zamoczyłam termometr we wrzątku. Pojemnik z rtęcią pękł. Srebrne kulki rozsypały się na pościel. Zebrałam je. Przez chwilę się wahałam, ale gdy przypomniała się mi twarz Kwietnia, połknęłam je jak drażetki i zasnęłam. Po kilku godzinach obudziłam się z zawrotami głowy. Wymiotowałam, jakbym chciała wypluć wnętrzności. W końcu przyznałam się rodzicom, którzy dopiero co wrócili z pracy, że połknęłam rtęć. Ojciec wybiegł w kierunku domu sołtysa zadzwonić na pogotowie.

Sala na oddziale dziecięcym szpitala powiatowego w Lublińcu przypominała jurajski wapiennik. Jaskrawe światło ślizgało się po ścianach, skraplało do kaniuli kroplówki i wlewało przez plastikowe rurki w ledwo widoczną żyłę na moim lewym przegubie. Twarz matki, zaczerwieniona od płaczu, w świetle jarzeniówki wydawała się starsza o dziesięć lat.

Po chwili przyszedł chudy lekarz. Poprosił matkę na bok. Kiedy mówił, jego grdyka podskakiwała w górę i w dół, jakby połknął żabę. Udując, że śpię, podśluchiwałam ich rozmowę: „Alkaliczna rtęć nie jest

groźna... Jelita nie mogą jej wchłonąć... Będziemy badać... Będziemy badać co kilka godzin”

Gdy lekarz wyszedł, matka popatrzyła na mnie z wyrzutem. Chciałam jej wszystko wytłumaczyć, ale nie zdążyłam. Na sąsiednim łóżku dziewczynka z bordowymi pęcherzami wokół ust, która zatrula się żrącym płynem do tępienia stoniek, zaczęła się krztusić. Zrobiło się zamieszanie. Wywieźli ją na inny oddział.

Po dziewiętnastej skończył się czas odwiedzin. Mama położyła na szafce słoik z kompotem porzeczkowym i pojechała do domu. Pielęgniarka odłączyła kroplówkę i zgasiła światło. Wreszcie zostałam sama. Puste ściany grały ze mną w niebo i piekło jak składanka origami. Resztki światła wyciekały na ulicę i owijały topole miedzianą nicią, zatrzymując się w zakratowanych oknach więzienia dla kobiet, które znajdowało się naprzeciwko szpitala. Przywarłam gorącym policzkiem do chłodnej szyby. Więźniarki wystawiały w oknach sekretną pantomimę. Najdłuższy dzień w moim życiu kończyła krótka ballada Scorpionsów *When the Smoke Is Going Down*. Głos Klausa Meine’a dobiegał z dyżurki pielęgniarek, aż przed północą wszystko ucichło.

WIELKANOCNY BASZA

W połowie lutego padał śnieg z deszczem, choć od rana z mojego domku barometrycznego wyglądał góral na słońce. Babcia zaciągnęła śmietaną zalewajkę i uchyliła okno. Firanki przyprószone sadzą nadęły się jak rybie pęcherze. Do domu wszedł zmoknięty dziadek, powiesił kapelusz na poręczy krzesła i zaczął wyławiać chochlą kawałki grzybów z zupy.

– A idźże! – zganiała go babcia.

Dziadek zrobił minę niegrzecznego chłopca przyłapanego na gorącym uczynku, złapał packę i przegnał stado much, które polowało na kryształki cukru rozsypane na ceracie.

– Co cię ugryzło, Władek? – zapytała babcia.

– Pan Kierownik kazał mi grać.

– W co grać?

– W sztukę.

Dziadek rzucił packę na parapet, splunął do uchylonego popielnika, założył z powrotem kapelusz i wyszedł z domu. Wyjrzałyśmy za nim przez okno. Pokręcił się dla niepoznaki na podwórku, porąbał kilka szczap drewna, ale nie poszedł jak zwykle do kamionki, tylko schował kilof w wiklinie i pognął w kierunku Jowisza.

Następnego dnia bufetowa z Jowisza doniosła babci, że Pan Kierownik zamówił dziadkowi setkę i długo go namawiał do udziału w jakimś przedstawieniu w Klubie Rolnika. Dokładnie to nawet pani bufetowa nie wiedziała, skąd się wziął na naszych Hektarach ten Pan Kierownik i czym kierował oprócz swojego fiata 125p, ale na wsi mówili,

że był „delegowany” To znaczy organizował różne zabawy i loterie, załatwił wideo do salki w remizie, a w zeszłym roku zaprosił mamę na kurs kulinarny przy Kole Gospodyń Wiejskich, gdzie między innymi pokazywał, jak gotować zupę cytrynową. Słowa „zupa cytrynowa” były zresztą później zakazane w naszym domu – od czasu zabawy choinkowej, na której mama zatańczyła z Panem Kierownikiem czekoladowy walczyk.

Dziadkowi wyraźnie nie uśmiechał się udział w przedstawieniu, ale nie dawał tego po sobie poznać. Co prawda lubił grać i był znany we wsi z różnych występów na dożynkach, weselach i w zajeździe, gdzie zaglądał raz w miesiącu po pokwitowaniu renty i śpiewał do rana zakazane piosenki i ludowe ballady. Sęk w tym, że dziadek nie znosił Pana Kierownika, który wściubiał nos we wszystkie hektarowe uroczystości. Na przykład ostatnio przypalał się, niby przypadkiem, na zebranie strażaków i stwierdził, że Wielkanocne Turki to jakaś bzdurna tradycja i trzeba z nią skończyć, bo to nie turecka, tylko rzymska straż pilnowała grobu Jezusa w Jerozolimie. Dziadka krew załała, bo już od dziecka wiedział, że Turki wystawia się na pamiątkę wiktorii polskich wojsk w odsieczy wiedeńskiej i polskich wojaków, którzy wrócili do domów rok po bitwie, tuż przed Wielkanocą, poprzebierani w zdobyczne szaty tureckiej armii.

Odkąd pamiętam, w Wielki Piątek dziadek zakładał wysoki na trzydzieści centymetrów i ozdobiony bibułowymi kwiatami kotylion, wzorzystą tunikę, kamizelkę obszytą frędzlami i uzbrojony w wielkanocną palmę jeździł z innymi strażakami pilnować Grobu Pańskiego do bazyliki Świętego Antoniego. A gdy podczas rezurekcji proboszcz ogłaszał dobrą nowinę, Turkowie zdejmowali kir ze sztandaru i padali na posadzkę kościoła z takim hukiem, że bursztyny leciały z naszyjników przy ołtarzu świętego Antoniego z Padwy, a wota zawieszane na czerwonych aksamitach zwijały się jak listki osiki. Po nabożeństwie Turkowie ustawiali się w szpaler przed kościołem i trącali delikatnie pikami palm

pantofle wybranych dziewcząt, jakby tym gestem udzielali im specjalnego błogosławieństwa na nadchodzącą wiosnę.

Byłam pewna, że dziadek, strzelec Siedemdziesiątego Czwartego Pułku Piechoty Lublinieckiej, były więzień stalagu, zdun, cieśla, pieśniarz i wielkanocny basza w jednym, na którego jak do tej pory nie było mocnych, prędzej czy później wytnie Panu Kierownikowi jakiś numer. Nic się jednak nie działo. Dziadek chodził grzecznie na próby do remizy, słuchał się we wszystkim Pana Kierownika i ćwiczył na sąsiedku w stodole swoją piosenkę:

*Były maki i róże czerwone,
bzy pachniały w żołnierskiej piosence,
ale w żadnej z melodii
nie zakwitły żółte kaczeńce.*

Po południu ósmego marca zaświeciło słońce, choć od rana z mojego domku barometrycznego wyglądała góralka na deszcz. Na słupach rozmazane plakaty zapraszały na inscenizację muzyczną Kółka Rolnika pod tytułem *Żółte kaczeńce*, w reżyserii Pana Kierownika oczywiście. Mama, jak zwykle w Dzień Kobiet, została do późnego wieczora w zakładzie na obchody święta, ojciec uciekł na ryby, tylko ja i babcia tkwiłyśmy na posterunku w domu, żeby nakarmić kury, wydoić krowę i pomóc dziadkowi w ostatnich przygotowaniach do przedstawienia.

Po obiedzie babcia dostała od dziadka chustkę ze złotą nitką w czerwone maki, więc podśpiewywała wesoło podczas prasowania koszuli, którą rozłożyła ostrożnie na kapie łóżka. Wypastowane pantofle dziadka podsuszały się razem z kotem przy piecu. Koło piątej babcia spojrzała na dziadka i huknęła tak, że muchy omal nie pospadały z lepów, a sufit nie postradał resztek wapna:

– Rany Boskie, Władek, za godzinę trza ci się zbierać, a tyś jeszcze

nieogolony?

– I o co takie larmo, o co takie larmo? Przecież już się gołę.

Naostrzył brzytwę o skórzany pas zawieszony na klamce, wyjął z metalowego pudełka po kakao pędzel do golenia, wziął mydło, nalał do kubka ciepłej wody z czajnika i golił się powoli, przeglądając się w lusterku od roweru. Kiedy ubrał się w garnitur, zapiął szelki i zawiązał krawat, pomruczał pod nosem „Chuje-muje, żółte kaczeńce i czerwone pomidory”.

– Jakie pomidory? – zapytałam zdziwiona, ale dziadek nic nie odpowiedział. Włożył wypastowane pantofle i z mydlaną pianą na policzku wybiegł do wychodka za stodołą.

Minęło piętnaście minut. Minęło kolejne piętnaście minut. Z niepokojem patrzyłam na wskazówki zegara, bo dziadek coś długo nie wracał.

– Bydzie, bydzie. Ino przypiliło go z nerwów – uspokajała mnie babcia.

O wpół do siódmej Misiek zaczął ujadać. Liliputki schowały się pod plandeką, która przykrywała resztki miału po zimie. Pod bramę zajechał duży fiat. Wysiedli z niego wysztafirowani: Pan Kierownik, sołtys z puzonem i komendant Ochotniczej Straży Pożarnej w galowym mundurze. Babcia zarzuciła serdak na ramiona i wyszła przed ganek.

– Witaj, Stefa. A Władek gdzie? – zapytał sołtys.

– Pochwalony. Bydzie pół godziny, jak poszedł do wychodka i więcej się nie pokazał.

– Zaprowadźcie nas do niego – odezwał się Pan Kierownik rozkazującym tonem. – A wy zaczekajcie przy furtce i obserwujcie drogę – zwrócił się do komendanta.

Wybiegłam na dwór przez drzwiczki od strony chlewa i obserwowałam całe zajście zza krzaka agrestu, skąd był dobry widok.

– Towarzyszu Lubas, macie się natychmiast stawić w Klubie Rolnika – zasyczał Pan Kierownik i kopnął drzwi wychodka.

– Władek, odezwij się – usłyszałam głos babci.

– Otwórz, Władek, nie rób se jaj – dodał sołtys.

– Władek, otwieraj, słyszysz? – jeszcze raz spróbowała babcia.

– Towarzyszu Władysław, wy mnie dłużej nie wpieniajcie. Już dość narobiliście bigosu.

– Lubas, postawię ci kolejkę, tylko się już nie bocz i wyłaź – zakrzeczał przepitym głosem komendant.

– No powiedzcie mu coś, bo mnie zaraz krew zaleje – poprosił babcie Pan Kierownik, ale ona wzruszyła ramionami.

– Panie Kierowniku! – przerwał mu komendant. – Na górcę widać auta delegacji!

– Ciul jeden, czułem, że mnie wykiwa.

Pan Kierownik splunął na stokrotki, które nie wiadomo czemu zakwitły przy wychodku, wytarł wiechciem trawy ubłocone mokasyny, poprawił chusteczkę w kieszonce marynarki i spojrzął na zegarek.

– Spróbujcie go jeszcze namówić, ja muszę wracać do remizy! – krzyknął na odchodne do sołtysa i skierował się do furki.

Gdy duży fiat zniknął za mostem, sołtys, który znał dobrze dziadka i już wcześniej coś podejrzewał, tylko nie chciał się wygadać przy Panu Kierowniku, łyknął z piersiówki, podał babci do potrzymania swój puzon, złapał patyk, wcisnął go w szparę między drzwiczkami a ścianą wychodka i podważył drewniany rygiel. Drzwiczki uchyliły się. W środku, poza muchami miotającymi się w pajęczynach, nie było żywej duszy. Na podeschniętej palmie wielkanocnej wisiał dziadkowy kapelus.

PAJĄKI Z JEROZOLIMY

W czasie burzy chowałam się w sieni i bawiłam w Jonasza. Okiennice na strychu otwierały się z trzaskiem. Wypłowiwała zasłona nadymała się jak brzuch wieloryba. Poziomica była jego zezowatym okiem, a heble, piły i dłuta, porozwieszane na nieotynkowanych ścianach, płetwami. Woda spływała po kamiennym murze, kapiała z sufitu. Mogłam popłynąć, gdzie tylko chciałam, na łódeczkach z lipowych wiórów, ale wołałam tkwić pod drabiną na worku z owsem, gdzieś między konikiem na biegunach, ale bez biegunów, a kulawą wyciskarką do twarogu i kaczką, która wysiadywała jajka w starej balii. Plewy jak brokat spadały z góry na pajęczyny. Nade mną miarowo tykał licznik od prądu z porcelitowymi korkami. Na podłodze leżało zębate żelazko na duszę. Tak samo jak w beboka, czyli jurajskiego potwora, który, jak mawiali dorośli, porywał po zmroku niegrzeczne dzieci, wierzyłam, że to żelazko, zgodnie ze swoją nazwą, jest przechowalnią wszystkich dusz z rodziny.

Matka panicznie bała się burzy. Kiedy zaczynało grzmieć, żegnała się, zbierała pranie ze sznurków rozwieszonych między dwiema jabłonkami, zamykała wszystkie okna i drzwi na zasuwę, wyciągała wtyczki z gniazdek, chowała metalowe przedmioty, nakrywała pralkę kocem, żeby żelazna pokrywa nie ściągnęła pioruna. W końcu siadała na łóżku, przykrywała się pierzyną i wołała mnie do siebie.

– Przyznaj mi się tu zaraz, znowu zabiłaś pająka? Wiesz przecież, że to ściąga burzę z piorunami.

– Tym razem to nie ja, mamó. Przysięgam, to profesor Kuzior.

– Profesor Kuzior? – zapytała z zaciekawieniem.

– Na biologii usypialiśmy krzyżaki eterem i mój pająk chyba za dużo się nawdychał, bo już się nie wygrzebał z pudełka po zapalkach.

– Pająki to święte stworzenia i nie wolno ich zabijać, ocaliły Matkę Boską. Kiedy Święta Rodzina uciekała z Jerozolimy, pająki uplotły wokół drogi tak gęstą sieć, że nie mogły jej przebić miecze żołnierzy Heroda.

Opowiadała i opowiadała – a to że Jezus w dzieciństwie ożywił dwanaście glinianych ptaszków, powiesił dzban z wodą na promieniu słonecznym i chodził po wodzie, a to że ocucił zasoloną rybę i uciszał burzę. W końcu zasypiała pod pierzyną, ściskając w lewej dłoni poświęcony medalik.

Pewnego razu podczas burzy odwiedziła nas Natka Roszenko. Nie znaliśmy jej dobrze, wiedzieliśmy tylko, że jest jedną z panienek Cyngi, który pojawił się we wsi w połowie lat osiemdziesiątych nie wiadomo skąd, przesiadywał w zajeździe z Panem Kierownikiem i sołtysiem i założył w podziemiach leśnego amfiteatru przy szosie nocny klub Pawian. Mama, wiedząc to wszystko, i tak zapraszała Natkę do naszego domu, bo dziewczyna tanio sprzedawała węgierskie bluzki i chustki ze złotą nitką. Zresztą, jak można nie wpuścić kogoś do domu podczas burzy?

W sierpniowym zaduchu, gdy siedziałam pod stołem i bawiłam się w domek, mieszały się różne zapachy: podgniętej słomy z siennika, krochmalu, stęchlizny i kociego moczu. Wychyliłam głowę, lep na muchy kiwał się hipnotycznie pod żyrandolem. Na ścianie obok mojej pamiętki Pierwszej Komunii Świętej wisiał portret babci Sabiny. Śniada, piękna kobieta w szaroniebieskiej żorzetowej sukience z koronkowym białym kołnierzykiem zerkała na mnie z obrazu. Jej kruczoczarny warkocz falował za szklaną szybą. Tęskniłam za nią, choć nigdy jej nie poznałam.

Kiedy mama zasnęła, Natka dopiła swoją kawę, weszła do mnie pod stół, usiadła obok i uśmiechała się dziwnie.

– Ty, chcesz, opowiem ci bajkę. Nu? A może pobawimy się w

smyranie?

Gdy nic odpowiedziałam, Natka odgarnęła ciemne włosy, objęła mnie szczupłym ramieniem. Pachniała piżmowymi perfumami. Rozpięła bluzkę, odsłoniła piersi. Zadrżałam z obrzydzenia, ale ona chyba to inaczej zinterpretowała. Wsunęła sobie rękę do majtek i przymknęła oczy. Na szczęście burza się skończyła. Ktoś zapukał do drzwi. Matka zapaliła światło. Uciekłam spod stołu, krzycząc:

– Mamo, mamo, pod stołem są pająki z Jerozolimy!

FALE

Mdliło mnie od samego rana i nie miałam ochoty na kaszankę, którą babcia podsmażyła z cebulą na śniadanie. Uciekłam na dwór i postanowiłam towarzyszyć dziadkowi w wyprawie na pole. Kiedy się okazało, że w nocy fala roztopów zalała łąki, zawróciliśmy do domu. Minęliśmy gnijące kopce, krzaki berberysu, rząd jabłoni. Pod butami chrzęściły skorupki winniczków. Ziemia pachniała zgniłymi korzeniami, mułem, kardamonem.

– A Wielkanoc w dziewięćset trzynastym też była mokra – zaczęła opowiadać dziadek, który tego ranka był bardziej rozmowny niż zwykle.
– Deszcze lały z małymi przerwami. Strugi zebrały się w wartki potok. Wylał tak, że sąsiedzi, no ci, Balwierze, których dom był na niskim terenie, uciekli w nocy i zapomnieli zamknąć okno i drzwi, i woda zabrała im święcone babki i kielbasę.

Dziadek pobełtał laską zawieszoną, która pieniała się w wykopie. Druciane wnyki jak sznury niewidzialnych wisielców tańczyły na wietrze.

– No a druga woda to wylała na same żniwa. Obok naszego pola był wójtowy łąn owsa już postawiony w mendle. Co to był za widok, kiedy woda zabierała te wójtowe mendle i one płynęły jak wojsko: jeden za drugim do rzeki, mówię ci. Niektóre zaczepiały o korony drzew, rozbijały się na pojedyncze snopy i odpływały hen, w nieznaną.

– I was też zalało w Brudzowicach?

– Nie, myśmy mieszkali na górcie, ale i tak często sprawdzałem stan wody, wtykając w ziemię kij. Po południu poszedłem sprawdzić, czy woda spada, czy przybiera. Patrząc, a tam kilkanaście zajęcy ucieka przed wodą.

Chowały się w trawie, chciałem chwycić jednego, ale matka powiedziała: „Zostaw ich, też chcą żyć, spiesz się, zabieraj konia i jedź na pastwisko do bydła”. Bo było tam całe lato, a przy mokrym roku panowała pryszczycza, taka zaraza na bydło rogate.

Nie słuchałam już dziadka, który zaczął właśnie wspominać nadejście trzeciej fali. Rozboleł mnie brzuch. Nad polami krążył helikopter z powiatu.

Gdy wróciliśmy do domu, słońce weszło nad Kolonią. Dochodziło południe. Ospałe muchy krążyły nad parującą kupą gnoju. Woda spływała strumieniami z dachu przez rynny, bombardując pączki żonkili. Na podwórku, wyglądającym jak brudna, mokra ścierka, spacerowały śnieżnobiałe gołębie. Przez szczyby w płocie, dziury po sztachetach, które dziadek porąbał w lutym, gdy zabrakło węgla, prześwitywały jaskrawe połacie zalanych pól. Pod płotem dogorywał piecyk z pękniętą rurą i z opadającymi płatami patyny. Spod plandeki między młodymi pokrzywami wystawały piszczele zardzewiałych bron.

Babcia wyskrobała kurom z garnka resztę wczorajszych kartofli i kazała mi sprawdzić, czy w chlewie, w pokrzywach albo na sąsieku w stodole nie ma świeżych jaj. Przyniosłam jej kilka w przetaku, usiadłam na wilgotnym pieńku przy stodole i rysowałam patykiem na ziemi spiralę. Nagle poczułam silny skurcz w podbrzuszu. Fala ciepła załała mi krocze i uda. Pobiegłam do domu.– Czy człowiek może się wykrwawić na śmierć? – zapytałam babcie. Ona, zaniepokojona, wychyliła głowę z piwniczki, gdzie przebierała kartofle, i kiedy dostrzegła czerwoną plamę na moich rajtuzach, od razu się domyśliła, o co chodzi. Wyszła po drabinie z piwnicy, poczłapała w gumiakach do swojej izby i wyciągnęła spod siennika wykrochmalone płócienne gałgany.

– Na, zapierz plamy w zimnej wodzie, a potem se to podłóż. Za kilka dni przejdzie. Jutro matka kupi ci w kiosku watę, a teraz mi nie

przeszkadzaj, bo kartofle do jutra zgniją.

Wybiegłam na podwórko. Słońce, białe i cętkowane jak gęsie jajo, piekło mnie w policzki. Plujki krążyły nad korytem wypełnionym sfermentowanym owsem. Weszłam do klatki królików i zasnęłam na świeżym sianie. Śniły się mi bordowe dmuchawce.

GIENEK KOMBAJNISTA

Po czwartej w lutym na dworze robiło się ciemno. Powietrze pachniało metalem. W sieci napiętych od mrozu drutów telegraficznych dźwięczał prawie niesłyszalny blues. Dom wypełnił się zapachem rozgrzanego smalcu. Koty wyciągały z węglarki skorupki jajek, puste opakowania po cukrze wanilinowym i bawiły się nimi pod stołem. Siedziałam na zydłu przy gorącym piecu i próbowałam zrobić na prace ręczne broszkę: motyla z drutu, agrafki i skrawka nylonu. W szufladzie znalazłam kilka par rajstop z napisem „damskie, stylonowe, oczka nielecące” które mama każdego roku dostawała w pracy na Dzień Kobiet. Wszystkie były jednak w kolorze cielistym albo cafe brąz i zamiast motyla wychodziła mi ćma „z lekko z zachwianym jestestwem” jak mawiał o sobie w każdy poniedziałek ojciec, kiedy z zaczerwienionymi oczami wracał o świcie po niedzielnej partyjce pokera i ziewając, przygotowywał sodkę na kaca. W końcu nie wytrzymałam i powiedziałam mamie, która wałkowała na stolnicy ostatni kawałek ciasta na faworki, że muszę lecieć do krawcowej po jakiś kolorowy nylon na broszkę.

– Miałś mi pomóc wywijać faworki, a nie ganiać po wsi – odpowiedziała z wyrzutem.

– Muszę skończyć broszkę do szkoły, mama, bo dostanę pałę.

– No dobra idź, idź, jak musisz, tylko najpierw wypij. – Podsunęła mi pod nos szklanke soku marchewkowego, który jako naczelna anemiczka w rodzinie pijałam kilka razy w tygodniu na przemian z wywarem z siemienia lnianego. Mama najpierw tarła marchew na tępej tarce, a potem przeciskała pomarańczową papkę przez gazę do miski. Sok miał posmak

rdzy i szarego mydła. Mdliło mnie na sam widok, ale musiałam go wypić, jeśli nie chciałam iść na kolejną wizytę do doktora Kwietnia.

– Uważaj na siebie i weź baterijkę, bo straszna ćma na dworze. – Odprowadziła mnie aż do furtki.

Próbowałam się ślizgać na pokrytej liszajami lodu ścieżce, nucąc balladę „Hej, Cyganie, gdzie idziesz?” Wszystkie światła w domach na Hektarach, w Kolonii i w Świnicy były pozapalane. Przez dymniki, szpary w oknach i kominy wydobywał się smród spalonego tłuszczu. Ludzie szykowali pozody^[3] na Tłusty Czwartek.

Raptem z ciemności wyszedł Gienek Kombajnista. Prowadził swój rower, albo raczej rower prowadził sto trzydzieści kilogramów Gienka, na zrazy z kapustą do zajazdu Jowisz przy szosie. Zimą Gienek wydawał się jakiś inny niż w czasie żniw, gdy uśmiechnięty i opalony podjeżdżał kombajnem z Kółka Rolniczego pod otwarte wrota naszej stodoły. Teraz wyglądał jak swój gipsowy odlew: był spuchnięty na twarzy i ciężko oddychał. Co rusz zatrzymywał się, jedną ręką podciągając drelichy związane sznurkiem pod brzuchem.

– Cześć, Gienek.

– Kto tam? A to ty, mała. Na religię idziesz?

– Nie, religia jest w piątce w domu pod lasem. Do Stasikowej idę. A co tam masz? – Wskazałam siatkę z nadzieją, że poczęstuje mnie oranżadą.

– Kupiłem se w kiosku na rozgrzewkę. Chcesz łyka? – Wyciągnął zieloną butelkę wody brzozonej.

– Nie, dzięki. A cukierka masz?

– Chcesz cukierka, idź do Gienka, Gienek ma, to ci da. – Zachichotał, pokazując szczerbę między zębami. Potem pogrzebał w kieszeni drelichów, wyciągnął krówkę oblepioną tytoniem i plewami i wymachiwał mi nią przed nosem. – A buzi za to Gienkowi dasz? – zaczął się przekomarzać. –

[3] Pozody (reg.) – słodyczne, smakołyki.

Ej, nie bądź taka, no daj.

– Daj to był chiński sprzedawca jaj.

Cmoknęłam go w kolący policzek, odebrałam cukierka i popędziłam do krawcowej, ale nie zastałam jej w domu. W oknach było ciemno. Na przyprószonej popiołem ścieżce prowadzącej do stodoły rozgałęział się labirynt kurzych śladów. Na drzwiach wisiała kartka: „Poszłam do siostry smażyć ponczki. Zaraz wracam”.

Wiedziałam, że w słowniku Stasikowej „zaraz” oznacza ze dwie godziny, więc nie czekając dłużej, zawróciłam w kierunku domu. W drodze powrotnej bawiłam się latarką, prześwietlałam sęki w płotach, łąki pokryte siwymi kozuchami śniegu, na których psy porozwłóczyły kości po karnawałowych świniobiciach. Gasiłam i zapalałam światło tak, jakbym rozmawiała z bezlistnymi drzewami alfabetem Morse’a. Zatrzymałam się przy mostku, żeby popuszczać zajaczki na zamarzającym potoku, i dostrzegłam w rowie jakiś dziwny pakunek. Poszłabym dalej, gdyby pakunek nie zaczął stękać. Ostrożnie zeszałam na dół, przytrzymując się witek wystających ze śniegu. To był Gienek. Leżał skulony i trzymał się kurczowo ramy ukraińskiej, jakby się bał, że kiedy ją puści, wpadnie w jakąś przepaść.

– Gienek, Gienek, ocknij się. – Szturchnęłam go lekko. Otworzył oczy i beknął mi prosto w twarz zakisłym zapleczem zajazdu.

– Co się stało?

– Poślizgłem się, jak wracałem z Jowisza.

– Leż tu spokojnie, pobiegnę po pomoc.

– Zo... sa... to ty? Ja... ne... le... że, ja... py... nę... – zaczął szeptać niewyraźnie, tak jakby coś przetykał. Kropla jaskrawoczerwonej krwi wypłynęła mu z nosa.

– Gienek, ja jestem Wiolka, córka Zosi.

– Ko... tam... ce, Zo... sa... – zamamrotał i stracił przytomność.

Próbowalam go ocucić, świecąc mu latarką w twarz, ale Gienek nie reagował, puścił skórzaną saszetkę przypiętą do ramy roweru i odpływał, odpływał w sobie tylko znanym kierunku.

DZIURAWE WIECZKA

Jeszcze nie wywietrzała mi z uszu *Litania loretańska*, bo jak zwykle o tej porze roku musiałam wysłuchać jej na majówkach kilkanaście razy i odstać swoje pod ustrojonymi kapliczkami i krzyżami, a już przypominało mi się, że przy obiedzie ojciec wspomniał o polowaniu na chrabąszcze. Wpadłam do domu jak piorun kulisty, wyjęłam z szufladki stołu zakrętki i poszłam do ojca, który kucał przy pieńku i robił jakieś lejkowate ustrojstwo z drutu.

– Podziurkujesz? – Położyłam wieczko słoika na pieńku.

– Na chrabąszcze idziesz?

– Mówiłeś, żeby iść.

– W samą porę. Trzeba wyłapać cholerstwo.

Gdy skończyłam jeść piętękę chleba, która zawsze lepiej smakowała mi w ciemności, ojciec przestał dziurkować gwoździem wieczko słoika na podkładce z dykty.

– Starczy? – zapytał i pokazał mi zakrętkę podziurawioną jak przetak.

– Starczy, tata, starczy. Dzięki.

Zakręciłam słoik i pobiegłam na łąkę za stodołę. Stanęłam na wydeptanym kawałku trawy jak na ringu. Majowe powietrze pachniało jaśminem i karmelem. Od strony jabłonek zaczęły nadlatywać ciężkie i pełne soków chrabąszcze. Jeden przeleciał obok mojej skroni jak miniaturowy bombowiec, musnął twarz skrzydłami. Biegałam za nim w ciemności boso po wilgotnej trawie, aż w końcu pac, pac, załatwiłam go otwartą dłonią. Ogłuszony owad upadł na trawę. Z obrzydzeniem podniosłam go gołymi rękami i wrzuciłam do słoika. Polowałam jeszcze

przez pół godziny i poczułam, że nastąpiła we mnie jakaś przemiana: widziałam wszystko wyraźniej i czujnej stawiałam stopy w ciemności.

Gdy słoik wypełnił się rojem chrabąszczy, zmęczona usiadłam obok budy Miśka, który tarzał się w ziemi i wytrząpywał pchły. Chrabąszcze stłoczone w słoiku wyglądały jak rudawe kulki ze zmechaconego swetra albo kukielka z rzepów.

Zajrzałam do chlewa. W kojcu z listew młode indyki tłoczyły się na sianie i skubały poszatkowany krwawnik. Zawahałam się. Szkoda mi było oddawać chrabąszcze na pożarcie. W końcu odkręciłam słoik, wyrzuciłam półżywe owady i wybiegłam, aby nie patrzeć na jatkę, jaka się rozpętała w kojcu. Przy drzwiach zahaczyłam nogawką spodni o gwóźdź w grzędzie. Pac, pac, spadło na mnie drewniane rusztowanie.

Klepisko było wilgotne i ciepłe. Przestrzeń w chlewie zajaśniała i jak mozaika rozpadła się na drobne kawałki. Jaskółki przenikliwym „tilit”, „tilit” pozdrowiły mnie w gnieździe na krokwi. Poczułam mrowienie w okolicy łopatek. Nagle stałam się lekka jak strzęp folii. Uniosłam się i usiadłam na szybko uchylonego okienka. Wyleciałam na plac, kołowałam przez chwilę nad sadem. Niebo, jak wieczko mojego słoika, było podziurawione gwiazdami. Prześwitywała przez nie jakaś inna podszewka. Z lotu ptaka zobaczyłam całą wioskę: ze zgniłozielonym lasem od północy i białymi kręgami kopalni dolomitu od wschodu. Już prawie przebiłam się przez wieczko do drugiego nieba, gdy nagle ktoś mnie pac, pac w rozpalone policzki.

Nigdy się nie dowiedziałam, kto mnie wyciągnął spod połamanej grzędy i wyprowadził z chlewa. Ocknęłam się tuż pod drzwiami domu. Matka mówiła, że sama wróciłam z potarganymi włosami i umorusana jak nieboskie stworzenie. Nasz stary rubin niespodziewanie zaczął działać i wszyscy domownicy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w migający ekran, na którym pojawiała się i znikwała niewolnica Isaura. Po kąpieli

położyłam się na wersalce w stołowym i długo nie mogłam zasnąć. Coś brzęczało mi w uszach, głowa bolała, a skóra na plecach piekła. Księżyc w pełni wzeszedł nad Hektarami. Na jego bladej tarczy i na mojej buzi przybywało plamek ospy wietrznej.

TAJEMNICA KRAWCOWEJ

Tego wieczoru nie mogłam się doczekać wizyty u krawcowej, ale mama kazała mi najpierw wstawić kompot do chłodnej sieni i zamknąć dom od środka na zasuwę. Na zasuwę, ponieważ u nas nie używało się klucza, który zawsze gdzieś się gubił. Kiedy mama czekała na podwórku, zostałam na ganku, podeszłam do drzwi i przesunęłam skobel. Palce zapachniały rdzą. Weszłam za ciężką od brudu i muszych kup zasłonę, uchyliłam drzwiczki i wskoczyłam do chlewa. Kury przysypiały na grzędzie. Krowa lizała kamienną ścianę. Wdrapałam się do oblepionego pajęczyną okienka i wyskoczyłam na mroźne powietrze.

Mama podała mi rękę. Poszliśmy na przełaj przez pola. Powoli zapadał zmrok. Oszroniona trawa skrzyiała pod butami. Po kwadransie marszu zamajaczył w oddali dom krawcowej. Zapukałam kilka razy. Nikt nie otwierał, choć usłyszałyśmy czyjeś kroki w sieni. Kot wyskoczył z gołębnika, niósł w pysku pisklę. Mama podeszła do okna od strony kuchni, zapukała kilka razy i wyszeptwała:

– Pani Stasikowa, niech pani otworzy. To my. Na remont kościoła zbierają w przyszłym tygodniu, a liczniki spisują dopiero jutro przed południem. Wiem, bo Janek się wygadał.

Po chwili drzwi się uchyliły. Weszliśmy przez pachnącą żurem sień do jasnej izby. Pod sufitem na kiju od szczotki wisiały garsonki, żorzetowe suknie, płaszczyki obszyte niemodnymi lamówkami i frędzlami, pokurczone żakiety dyndały jak wisielcy. Pod oknem stał singer, w szafkach kredensu obok kryształów zauważyłam pudełko ze szpilkami, przy chlebaku słoik z guzikami, w rogu pokoju manekin z

pękniętą czaszką – obwieszony tasiemkami i krochmalonymi serwetkami i nabity na kij jak marzanna. Z pudła za lampą wystawały naparstki, guziki, szpilki, haftki, napy, aplikacje, rzepy, flizeliny.

Matka położyła materiał na stole i zaczęła odwiązywać szpagat. Różowy strumień wylał się na brudny blat. Krawcowa oglądała tkaninę z podziwem, gładziła ją jak ciało zmarłego męża.

– No, prawdziwe чудо, i jak równo obrębione. Chyba nie kupiłaś w Koziegłowach?

– Nie, siostra przywiozła z Katowic. Ponoć cały dzień stała za tym w kolejce. No i co? Nada się? – spytała mama z nutą niepokoju w głosie. – Będzie z tego suknia na komers?

Krawcowa zmierzyła mnie wzrokiem, rozłożyła tkaninę, przykładała do niej łokieć i po chwili odpowiedziała:

– Tylko do kolan, i to jak się postaram.

– Do kolan? Neeee. Co by na to dyrektorka powiedziała? Na komers musi być dłuższa. Pani krawcowo – mama dotknęła torebki – może da się dosztukować?

– Bój się Boga! Z czego dosztukować? Gołym okiem widać, że to pewex.

Od tej pory regularnie chodziłam do krawcowej na przymiarki. Przyzwyczaiałam się do zapachu jej sieni i domu. Krawcowa szyła moją suknię na komers, fastrygowała materiał, owijała mnie nim jak mumię. Wszystko robiła w ogromnym skupieniu, liczyła coś w głowie, rysowała wykroj na szarym papierze, na koniec zrzuciła wszystkie szmatki ze stołu na podłogę, robiła herbatę, częstowała mnie drożdżowym plackiem, pokazywała ślubny portret, który wisiał nad kredensem i wspominała męża Stasika. Potem rozkładała karty; wróżyła mi i wróżyła, za każdym razem powtarzając to samo: że dwoje dzieci mieć będę, chłopca i dziewczynkę, że czekają mnie wojaże zagranicznie, sława i pieniądze, a gdy na koniec

dodawala, że w miłości nie odnajdę szczęścia, pod jakimś pretekstem uciekałam od stołu. Krawcowa zaczynała oglądać *Powrót do Edenu*, a ja bawiłam się z kotem, przrzucalam worki ze skrawkami, zaglądałam we wszystkie plisowane cieniem i światłem kąty. Tylko do jednej izby nie wolno mi było wchodzić. Oczywiście kilkakrotnie próbowałam złamać ten zakaz, ale niestety pomieszczenie było zawsze zamknięte na klucz.

W nocy często myślałam o pokoju Stasikowej. Raz wyobrażałam go sobie jako kapliczkę. Tylko zamiast obrazu świętej widziałam w nim złotą klatkę z papuzkami. Innym razem podejrzewałam, że pomieszczenie wygląda jak garderoba teatru z toaletką i kostiumami. We śnie wchodziłam do tego pokoju, przymierzałam peruki i kolorowe stroje.

Pewnego razu pomyliłam dni, bo w szkole była trudna klasówka z matmy i zamiast jak zawsze w środę, poszłam do krawcowej we wtorek. Ku mojemu zdziwieniu drzwi były uchylone. Wszłam do izby. Kot spał na poduszce. Zegar tykał na kredensie. Wpadłam na szalony pomysł – pomyślałam, że podczas nieobecności krawcowej zajrzę do zakazanego pokoju. Stałam przed nim jak przed wrotami sezamu, a potem popchnęłam ciężkie drzwi i zajrzałam do środka. W pokoju panował półmrok. Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, zobaczyłam jakby gabinet myśliwego. Na ścianach wisiały wypchane ptaki, rogi jelenia i strzelba. Na łóżku siedziała półnaga krawcowa, kiwała się rytmicznie na wypchanej gałganami, ubranej w męski garnitur kukle.

MYSZKA

A gdzie to panienka jedzie tak sama? Do Częstochowy? Wlecze się dzisiaj ten pociąg, wlecze, ale tylko patrzeć, jak będzie Korwinów. A skąd? Z Hektarów? Nie może być. Też tam kiedyś mieszkałem. A pamięta panienka brzezinę pod lasem? Za bajtla lataliśmy tam na pieczarki z Jadzią od Nowaków. O, Jadzia była śliczna jak malowanie. Panienka jakby do niej trochę podobna.

Co to ja mówiłem? A tak. Przed wojną było tam pieczarek od groma. Rozsiewały się pod młodymi brzoźkami. Tylko trzeba było uważać, żeby nie pomylić ich z psiokiem^[4]. Sypaliśmy je solą i piekliśmy na fajerkach. No w życiu lepszego nic nie jadłem. Niebo w gębie.

E, nie, kto tam przed wojną na wsi myślał, żeby kupować dzieciom zabawki. Nawet wychodka nie było, ino wiadro w sieni. Dziołchy to się bawiły lalkami z kukurydzy. Wie panienka, jak się robi takie lalki? Jak kolby są jeszcze niedojrzałe, kukurydza wypuszcza zielonkawę i liliowe włosie. Za tymi kolbami przepadała Jadzia. Chodziłem za księdza pole i przynosiłem jej kilka za pazuchą, żeby miała na zaś.

W lipcu trzydziestego dziewiątego prawie codziennie bawiliśmy się w naszej kotlinie. Kiedyś płynął tam strumień. Woda była w nim zimna i płytka, a nam się zachciało pływać, to natargaliśmy kamieni i badyli. Męczyliśmy się ze dwa dni, ale kiedy zapora była gotowa, woda wezbrała i rozlała się w bajorko. Pluskaliśmy się tam do nocy w liściach łopianu na głowach. Kiedy znudziło nam się to pluskanie, odpoczywaliśmy pod dębem. A ten dąb dalej tam stoi, prawda? Nawet Niemcy go nie ruszyli.

[4] Psiok (reg.) – niejadalny grzyb.

Ha! Pod tym dębem lubiła leżeć Jadzia, wypłaszać z chmur zwierzynę, jak to powiadała. Zwykle koło piątej rozchodziliśmy się do domów. Ja i Jadzia w tajemnicy przed wszystkimi zakradaliśmy się do stodoły Sitkowej, stawaliśmy na wierzchołku sąsiedków wypchanych słomą, no i zjeżdżaliśmy na workach. Wspinałem się na sam szczyt z kapeluszem wypełnionym plewami i wysypywałem je na środek boiska. Jadzi podobała się ta zabawa, aż w końcu wpadła jej plewa do oka, wtedy rozbeczała się i poleciała do domu.

Raz pochyliłem się, żeby nabrać plew do kapelusza, i wie panienka, zadarła mi się koszula. Jadzia zauważyła moje znamię na plecach, znaczy się myszkę, jak to wtedy się mówiło. Zaśmiała się i uciekła ze stodoły. Poleciałem za nią, ale strzyga jedna schowała się za drewnutnią. Następnego dnia zrobiłem sobie łuk z leszczyny, złapałem pajdę chleba ze smalcem i poszedłem szukać dzieci. Zdziwiłem się, bo czekały już na mnie przy drodze. Podbiegłem do nich, żeby się pochwalić łukiem.

– Bachor czarownicy! Bachor czarownicy! – wyzywały mnie.

Upuściłem łuk. Podeptali. Cięciwa pękła. Przewrócili na drogę, opluwali, obrzucali krowimi plackami i zbukami. Próbowałem się wyrwać. Zasłaniałem twarz rękami... W końcu poturlałem się do rowu i uciekłem na pole. Schowałem się w kopcu... O zmroku usłyszałem wołanie matki. Wyszedłem z kopca, opłukałem się w szafliki i pobiegłem do domu. Po drodze połykałem powietrze, krew, łzy. Matka czekała w sieni z lampą karbidową. Jak mnie ujrzała, przeżegnała się, bo wyglądałem ponoć jak nieboskie stworzenie ze śliwą pod okiem i w potarganej koszuli. Ale o tym, co się wydarzyło na drodze, nie pisałem nikomu ani słówka.

Matka rozpałała pod blachą, wyciągnęła zza zasłony w sieni drewnianą balię i naszykowała kąpiel. Ciepła woda uspokoiła mnie trochę. Jak kąpiel zrobiła się letnia, matka wyciągnęła mnie, zawinęła w prześcieradło i posmarowała rany jodyną. Nie mogłem zasnąć i miotłem się w pościeli

do rana. Wróciło wszystko i zdawało mi się, że wśród dzieciorów, które były mnie przy drodze, była też Jadzia.

Na Matkę Boską Zielną narwałem przy płotach smolinosków, malw, co tam znalazłem w ogródku, i pobiegłem pod krzyż. Deszcz siekł kapliczkę, a ja błagałem Matkę Boską, Jezusa i wszystkich świętych, żeby tą deszczówką zmyli moją myszkę. Ale myszka nie znikła z pleców. Posmarowałem ją sokiem z jaskółczego ziela, tak jak matka leczyła moje kurzajki, ale i to nic nie dało. Myszka jak była, tak była w tym samym miejscu, tylko od soku z jaskółczego ziela zamieniła się w rudą mapę.

Wie panienka, pierwszy dzień szkoły w trzydziestym dziewiątym przypadał na czwartego września. Bardzo nie chciałem tam iść. Bałem się, że dzieci przypomną sobie o mojej myszce i znów będą mi dokuczać. Najadłem się guguł^[5] dostałem bólów brzucha. Matka dała mi kieliszek nalewki z włoskiego orzecha i po południu trochę wydobrzałem, ale i tak nie musiałem iść do szkoły. Wie panienka, wybuchła wojna i zostałem w domu. Ludzie we wsi byli jacyś niespokojni, zaglądali do studni, krążyli od stodoły do chlewa, od chlewa do stodoły, sprawdzali drzwiczki w piwnicach i kopcach.

Kiedy matka poszła do sąsiadki, nie wytrzymałem. Wyszedłem na plac i zajrzałem do stodoły Sitkowej. Usiadłem na pieńku, strugałem kozikiem patyk. Nagle ktoś uchylił wrota. Zobaczyłem rąbek perkalowego fartuszka. To była Jadzia. Otworzyła skrzynkę za młockarnią, tam gdzie kiedyś chowała swoje kukurydziane i słomiane lalki, kamyki i kapsle. Podbiegłem do niej uradowany.

– Serwus, Jadzia!

I wie panienka, ona nie odezwała się do mnie ani słowem, boczyła się tylko. Usiedliśmy na najwyższej belce, prawie pod samym pułapem sąsiedka, i patrzyliśmy przez wybity sęk w desce na naszą kotlinkę.

[5] Guguły (reg.) – niedojrzałe owoce.

Chłodny powiew od lasu spłoszył kuropatwy. Zbliżała się jesień, ale byłem szczęśliwy, bo Jadzia wróciła.

– Jak tam, diabelski podrzutku? – prychnęła znienacka.

Wiedziałem, że nie żartowała, że to nie jest już moja Jadzia, ino obce dziewczysko ze wsi. Popchłem ją z całych sił. Mój Boże, spadła na sieczkarnię. Leżała tam w kałuży krwi. Uciekłem ze stodoły do lasu. Dzwony rozdzwoniły się u Świętego Antoniego.

Zbladła panienka. Może wody? Zawsze noszę w teczce mineralną, żeby mieć czym popić leki. Widzi panienka, ani się obejrzelśmy, a już Stradom. Tu wysiadam.

KOBIETA Z PSEM

Gdy skończyliśmy zwozić wózkiem z pola wiązki dojrzałych makówek, matka poszła zapalić papierosa za dom i zasnęła pod jabłonką nad stawem. Po przebudzeniu zawołała mnie do siebie. Położyłam się obok niej i żując świeżo wyłuskaną mieszankę ziarenek bordowego, fioletowego i szarego maku, spoglądałam na niebo, które raz po raz kręciło z chmur cukrową watę.

Wiatr przy akompaniamencie szpaków fałszował jakąś melodię w rynnach, tarmosił foliówki na pomidory i bujał przy szosie metalowe szyldy z napisem „Produkcja choinek”. Coś zaszeleściło w trzcinach. Złota orfa wyskoczyła ze stawu. Matka zaczęła opowiadać wtedy swój sen o dawnej koleżance z klasy, Stelli Dynus, i zmartwiła się przy tym, czy aby w jakiś tajemniczy sposób nie zaraziła się lunatykowaniem od małej Dynusowej i nie zacznie biegać, tak jak ona kiedyś, po polach i wołać nad kamionkami, że nadchodzą Niemcy. To był taki sen matrioszkowy, to znaczy we śnie mamie zdawało się, że jest Stellą, a ta Stella śniła jeszcze sny kogoś innego – pięcioletniej córki Kurzaków. Kurzakównę zaś, jak opowiadali we wsi, rozstrzelali Niemcy w czterdziestym trzecim w zemście za napad Jędrusiów na ośrodek Hitlerjugend pod Myszkowem. Zakopano ją w dole tuż za księdza polem, tam gdzie później powstał pegeer.

Stella, jako jedyna w klasie, nie chodziła na religię i z tego powodu dzieci bardzo jej dokuczały, a mama, jak sama przyznała, zazdrościła Stelli, bo dziewczynka wyróżniała się dystyngowanym sposobem bycia i eleganckimi ubraniami. Niby wszystkie uczennice miały wtedy jednakowe

fartuchy krzyżaczki, płócienne białe bluzki i granatowe plisowane spódnice, ale Stella była zawsze szykowniejsza: miała obrębiony na szydełku kołnierzyk i skórzane lakierki. Moja matka siadała obok niej na lekcjach plastyki i pożyczła wysuwane kredki, które dziewczynka dostała od rodziny z Ameryki, zakończone z każdej strony innym kolorem, zagraniczne farby i czerwony długopis z obracaną tabliczką mnożenia.

Przed Wielkanocą sześćdziesiątego ósmego Stella zaczęła opuszczać lekcje albo przychodziła do szkoły spóźniona z podkrążonymi oczami. Po wsi krążyły dziwne plotki. Najbliższa sąsiadka Dynusów opowiadała, że dziewczynka wychodzi w środku nocy z domu, błądzi po polach w samej koszuli nocnej i krzyczy coś o Niemcach. Według mamy ktoś z naszej wsi musiał wyśnić do końca nagle przerwane sny Kurzaków i nie wiadomo dlaczego, padło akurat na małą Stellę.

Po świętach Stella znowu nie przyszła do szkoły, a matka pomyślała, że tak jak wszyscy zachorowała na ospę i wkrótce pojawi się w klasie wysmarowana maścią cynkową, ale ona nigdy już nie wróciła. Podobno jej rodzice przeprowadzili się za granicę. Od tej pory matka już nigdy nic nie słyszała ani o Stelli Dynus, ani o wojennej tragedii rodziny Kurzaków.

Pewnego sierpniowego dnia siedziałyśmy razem z matką na odwróconej balii na podwórku i łuskałyśmy fasolę. Nieopodal, na polach pegeeru, hałasowali robotnicy, kopiąc fundamenty pod nowy budynek. Dwie koparki wypluwały na zmianę czarnoziem na rzysko porośnięte lebiodą. W pewnym momencie na miedzę przy budowie podjechał granatowy volkswagen. Koła samochodu ugrzęzły w błocie. Wysiadła z niego elegancka szczupła kobieta w niebieskiej ortalionowej kurtce i białych bryczesach, a za nią wyskoczył podpalany kundel.

Matka zbliżyła się do ogrodzenia i kiwnęła na mnie ręką.

– Chodź no tu, Wiolka, coś mi się zdaje, że ta pani z psem to mała Dynusowa z mojego snu – powiedziała. – Ale wyrosła, choroba.

Wysoka kobieta o kasztanowych włosach związanych w koński ogon szła powoli w stronę budowy i potykała się o grudy poranej ziemi. Zatrzymała się przy brygadziście, który opierał się o barakowóz. Gdy tylko zobaczył kobietę, odruchowo wytarł rękawem policzek i lekko się wyprostował. Kobieta sięgnęła do torebki, pokazała brygadziście zniszczony wycinek z gazety, coś mu wytłumaczyła i wskazała miejsce na ściernisku, energicznie przy tym gestykułując. Ten jednak nawet nie spojrzął na papiery. Dalej opierał się o barakowóz i próbował obetrzeć trawą ubłocony gumiak. Kobieta nie chciała odejść, objaśniała coś uparcie, ale brygadzista popukał się w głowę i odszedł w kierunku kuchni polowej, bo właśnie zaczął się fajrant.

Wiatr porwał wycinek gazety i unióś go nad polem jak miniaturowy latawiec. Pies pobiegł za nim, ale kartka zrobiła korkociąg w powietrzu i wpadła do dołu z wapnem. Nad naszymi głowami zaszeleściły brązowozłote zawiniątka liści leszczyn. Woda zmarszczyła się w szafliku przy rynnicy. Powiało chłodem. Matka zdjęła z kolan koszyk z łupinami fasoli i poszła do domu po sweter. Ja wciąż stałam przy płocie, skubałam spróchniałą balaskę i spoglądałam w kierunku pól pegeeru.

Kobieta tkwiła jeszcze chwilę przy betoniarce, próbowała rozmawiać ze starszym robotnikiem w wełnianej czapce, który wyjrzał z osinobusa, ale i on nie chciał jej wysłuchać i schował się z powrotem do wnętrza wozu. W końcu zrezygnowana zawróciła w kierunku swojego samochodu. Kundel rozkopał kretowisko, pogonił zeschnięty liść, a potem dołączył do swojej pani.

Robotnicy zgromadzeni przy kuchni polowej jak jeden umęczony organizm zbierali porcje fasolki po bretońsku do aluminiowych menażek i oglądali się za nią, gdy tak szła powoli, kołysząc biodrami.

Wiatr nadmuchiwał jej kurtkę i unosił nad polem jak błękitny lampion.

WIŚNIOBRANIE

To była trzecia sobota lipca. Babcia obudziła mnie o szóstej rano. Nie miałam siły wstać, bo byłam zmęczona po wczorajszej pracy przy wiśniach. W końcu zwlekłam się z łóżka, umyłam twarz w zimnej wodzie i poszukałam w szafce spirytusu salicylowego i agrafki, aby wyciągnąć drzazgę, która utkwiała w lewej dłoni. Nie znalazłam niczego, popsikałam tylko rękę dezodorantem. Babcia czekała na podwórku przed domem i wołała:

– Chody, chody, bo się spóźnimy na autobus!

Ubrałam się szybko i wybiegłam przez sień na podwórko. Powietrze po deszczu pachniało miąższem arbuza. Gdy wyszliśmy za furtkę, babcia zatrzymała się przy bańkach i kazała sprawdzić, czy mleczarz nie zostawił w środku jakichś serków albo masła ze spółdzielni. Jak na złość tego ranka bańki były puste. Wlokliśmy się kamienną drogą, taszcząc każda po dwa wiadra z wiśniami, na przystanek do sąsiednich Wojsławic.

Poranny pekaes do Myszkowa był wypchany jak kiszka. Ludzie przysiadali gdzie bądź: na podłodze, na workach, koszykach z owocami. Zwierzęta hałasowały w klatkach. Pod siedzenia ciekł sok z kiszzonej kapusty. Kucnęłam przy wiadrach z wiśniami i przyglądałam się szczeniaczkom, które drzemały w torbie obok zaparowanych torebek z bobem. Zaspany kierowca nie zwracał uwagi na ten zwierzyniec, poprawił czapkę i starał się nie wpaść do rowu, omijając wyboje i stada krów wlokące się na pastwiska.

W soboty na myszkowskim rynku wszystkie miejscówki były pozajmowane, ale babcia się tym nie przejęła. Podeszła do brodatego

mężczyzny, który pokazywał przechodniom karciane sztuczki na wędkarskim krzeselku.

– Pochwalony. – Mężczyzna odezwał się pierwszy do babci, tak jakby ją znał od lat. Ona nic nie odpowiedziała, poprawiła tylko chustkę na głowie i podała mu dwie zwinięte stowy. Facet złożył krzeselko, jakby nigdy nic, odstąpił nam swoje miejsce i skręcił w kierunku Pułaskiego.

– Na ile dziś wiśnie? – zdążyła krzyknąć za nim babcia.

– Dziś na siedemdziesiąt.

Nie znałam się na tych ryneczkowych zwyczajach, więc odeszłam na bok i co jakiś czas przykładałam obolałą dłoń do zimnego muru. Potem wróciłam do babci i pomagałam jej odmierzać wiśnie półlitrowym garnczkiem.

Nagle zza winkła wyszedł Piotr, moja pierwsza miłość, aż dziewięć wspólnych sobót przetańczonych w dyskotecce. Towarzyszyła mu czterdziestoletnia kobieta, wypisz wymaluj Krystyna Loska. Przystanęli przy stoisku z góralskimi klapkami. Domyśliłam się od razu, że to jego matka, znana lekarka, o której mi tyle opowiadał. Chciałam zapaść się pod ziemię, schować do wiadra z wiśniami.

„Boże – pomyślałam – zabierz mnie stąd, zabierz, a pójdę w tym roku na pasterkę. Co tam na pasterkę, pójdę nawet na pielgrzymkę do Częstochowy, ale niech tylko nie idą tą alejką. On nie może mnie tutaj zobaczyć. Proszę! Kurna, oni tu idą!”

Poprawiłam rozczochrane włosy, oblizałam wargi. Miałam opaloną piegawatą buzię, brudne szorty i wyglądałam jak siedem nieszczęść. Schowałam poplamione wiśniowym sokiem ręce do kieszeni i starałam się ukryć za plecami babci. Wszystko na nic. Piotr i tak mnie zauważył.

– Co ty, dziolcha, znowu wyczyniasz? – zgaśniła mnie babcia. – Włożyłaś mi prawie do wiadra. Duchaś zobaczyła czy co? No kupta, państwo, wiśnie, wczoraj rwane, sama słodycz!

Piotr przyglądał mi się zdziwiony. Uśmiechnęłam się do niego na siłę i pomachałam ręką, ale nie odpowiedział, odwrócił głowę. Potem skręcili w lewo i zniknęli za straganami. Wiedziałam, że go już nigdy nie zobaczę. Usiadłam na trawie i jednym klapsem pozbawiłam życia przedziorka, który spacerował po moim ramieniu.

Nie pamiętam, ile upłynęło czasu, ile ciężkich i lepkich godzin odmierzyłyśmy z babcią litrami wiśni. Doszłam do siebie późnym popołudniem, kiedy obydwa wiadra były już puste. Ludzie nas mijali. Lody kapwały na sandały. Odruchowo zaczęłam ssać obolałe miejsce po wewnętrznej stronie dłoni. Babcia spakowała torby, podała mi kilka banknotów.

– A ty coś taka markotna? Na, kup se co, i na dyskotekę starczy.

Resztę pieniędzy zawinęła w woreczek i schowała do tajemnej skrytki, w którejś ze swoich siedmiu spódnic. Zostawiłyśmy rzeczy u zaprzyjaźnionej kwiaciarki i poszłyśmy do centrum miasta przez opustoszały rynek, deptając patyki po wacie cukrowej, rozmokłe kokardki obwarzanków. Kałuże soku po kiszonych ogórkach błyszcząły na rozgrzanym asfalcie. Przystanęłyśmy przy budce obitej białą dyktą. Babcia kupiła dwie zapiekanki. Gdy nie patrzyła, wyrzuciłam swoją do kosza.

Poszłyśmy prosto do miejscowego domu handlowego nazywanego popularnie „blaszakiem”. Na ulicę Pułaskiego wylał się tłum robotników wracających z papierni. Saturatory rzeziły przy skwerkach. Wydłużały się kolejki w piekarniach i mięsnych.

Krążyłam po „blaszaku” dziwnie rozgorączkowana, czytałam transparenty, gapiłam się na koślawe manekiny, mijałam półki z konserwami i octem przyozdobione wypłowiałymi kwiatami z bibuły i łykowymi plecionkami, oglądałam radzieckie zegarki: pojloty, zimy, wostoki, porcelanowe figurki ułożone na tiulu w szklanych gablotach.

Na zegarze przy kasach dochodziła piąta. Drzazga z bordową aureolką pulsowała pod skórą, sączyła jad w pięciocentymetrową pręgę.

FILUMENISTKA

Zbieranie etykiet zapalczanych okazało się trudniejsze niż bieganie na trasie Mirów-Bobolice, nocne wyprawy do sadu sąsiada, udział w czynach społecznych na polach pegeeru, zbieranie makulatury i złomu czy czuwania na Jasnej Górze. Bo niby jak wyciąć precyzyjnie żyłką upatrzoną wcześniej etykietkę na imieninowym stole, gdy wujek Janek, szczęśliwy właściciel owej etykietki, nie upił się jeszcze wystarczająco, aby mu ją podwędzić, a w skrzynce za zasłoną zabrakło wódki? Pomyślałam, że skoro wujka nie uspiły rodzinne śpiewy, opowieści dziadka o ruskim czołgu, który zamiast do Warszawy wjechał na podwórko sąsiadki Balwierki, monologi ojca na temat wojaży „pociągiem przyjaźni” do Rosji i szmuglowania biżuterii czy zastosowania siarczanów w preparacji zwierząt, zdecyduję się na ostateczne rozwiązanie. Rozsypałam pieprz na gorącej blasze. Woń palonego pieprzu zadziałała jak gaz łzawiący i wszyscy goście natychmiast ewakuowali się na plac, a ja w chustce na twarzy mogłam wreszcie spokojnie zaopiekować się zapalkami „Sztormowymi”.

Z czasem nauczyłam się podważać łyżeczką albo nożem upatrzone zapalki ze stołu, segmentów, komód, używać żyłki i haczyka na ryby albo zwyczajnie czekać, aż wszyscy pójdą tańczyć kaczuszki na zabawie sylwestrowej. W końcu jednak polowania na etykiety i kolekcjonerskie potyczki w barwach Państwowego Monopoli Zapalczanego z Sianowa, Czechowic, Częstochowy, Bystrzycy zaczęły mnie męczyć.

Pewnego dnia usiadłam w pierwszej ławce na matematyce i zaniemówiłam. Na biurku pana Kropika leżał sobie złoty „Gryf Pomorski”

z Sianowa – „64 zapalki, 25 groszy” – i kusił mnie niemilosiernie. Na sianowskiego „gryfa” polowałam od roku i miałam nadzieję, że zostawi go któryś z tirowców zaglądających na obiad do Jowisza albo Natka Roszenko przyniesie go z Pawiana, a tu masz, pech chciał, że miał go właśnie matematyk, który za mną nie przepadał, bo moje nazwisko kojarzyło mu się z pewnym żołnierzem, który przed laty zdezerterował z wojska. Nie przyznałam się panu Kropikowi, że tym pechowym szeregowcem w lublinieckiej jednostce wojskowej, gdzie służył też nasz matematyk, był mój tata. Pan Kropik jednak podejrzewał, że jestem córką tego zniechodzonego żołnierza, i jak mi się zdawało, planował mi za to dokuczyć, ale nie mógł znaleźć na mnie haka. Byłam bowiem wzorową uczennicą, harcerką, jeździłam na wszystkie konkursy Polskiego Czerwonego Krzyża, Ochotniczych Hufców Pracy, Ochotniczej Straży Pożarnej, czuwanie przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Koziegłowach, olimpiady i plenery, czyli wszędzie tam, gdzie dawali uczniom darmowe obiady. Wreszcie pan Kropik przyłapał mnie na próbie przywłaszczenia sobie jego pustego pudełeczka po zapalkach i z nieukrywaną satysfakcją wysłał mnie na dywanik dyrektorki.

Na szczęście tego dnia miałam w tornistrze kilka starych etykiet, bo chciałam je pokazać na kółku historycznym. Powoli rozłożyłam kolekcję na biurku dyrektorki, przedstawiając ją jako pomoc naukową. Wskazałam ołówkiem etykietkę zapalek „Kresowych” z lat dwudziestych i zaczęłam opowiadać, jak to w roku 1925 sejm wydzierżawił Państwowy Monopol Zapalczany szwedzkiej spółce kierowanej przez „króla zapalek” Ivara Kreugera^[6] w zamian za jakąś niebotyczną kwotę. Zapomniałam oczywiście dodać, że polski rząd skorzystał na tej transakcji i za zdobyte

[6] Ivar Kreuger – potocznie nazywany „królem zapalek” był szwedzkim biznesmenem, który na początku xx wieku zrobił majątek na produkcji zapalek.

pieniądze wybudował port w Gdyni, chlubę Drugiej Rzeczypospolitej. Dyrektorce bardzo się spodobały moje wyjaśnienia i wpisała mi tylko drobną uwagę do dzienniczka.

Miesiąc później kuzynka z Łgoty zaprosiła mnie na wesele i z braku laku przydzieliła mi jako drużbę znanego w całej okolicy starego kawalera Romusia Lepiarza. Miał on ze trzydzieści lat i już podczas wieczorku zapoznawczego drużbów zaczepiał mnie, próbując podrywać, a podczas wyprawy ciężarówką do lasu po chojnę^[7] na koronę dla nowożeńców próbował mnie nawet objąć, ale schowałam się za gałęziami świerka.

W dniu wesela, tak jak kazał drużbiński zwyczaj, przypięłam Romusiowi do butonierki stroik przybrany frezją i szparagusem, a on podarował mi w zamian bombonierkę i zabrał samochodem do kościoła. Myślałam, że po mszy i rytualnym okrażeniu ołtarza świętego Antoniego skończy się moje drużbowanie, ale niestety tu dopiero zaczynały się schody. Musiałam siedzieć z Romusiem Lepiarzem przy stole i tańczyć z nim. Gdy w trakcie zabawy „Mam chusteczkę haftowaną, co ma cztery rogi” Romuś rzucił mi pod nogi swoją zasmarkaną chustkopodobną szmatkę w kratkę, ukląkł i wystawił dziobek do pocałunku, nie wytrzymałam i uciekłam z remizy. Niestety po kwadransie mama sprowadziła mnie z powrotem na salę i kazała „nie robić wstydu” i znosić do końca wesela adorację Lepiarza, który wciąż nalewał mi wódkę i terroryzował na zmianę kremowymi roladami, rolmopsami i faszerowanymi jajkami. Argument mamy o „nierobieniu wstydu” nie podziałały na mnie tej nocy, gdyby nie pewien drobiazg, dla innych niezauważalny, a dla mnie bardzo istotny – otóż Romuś miał zapalki z lajkonikiem z Orbisu, a mnie dokładnie takiej etykietyki brakowało do uzupełnienia całej serii. Sęk w tym, że ciągle latał zapalić na zewnątrz remizy i chował zapalki z lajkonikiem do kieszeni marynarki.

[7] Chojna (reg.) – gałązki drzew iglastych.

Po emocjonującym meczu główką kapusty, w którym wygrała drużyna pana młodego, Romuś spocił się jak norka, wytarł czoło zasmarkaną chustką w kratkę, zjadł udko z kurczaka, wypił trzy kolejki i bez okrycia wyszedł do ubikacji. Sięgałam do wewnętrznej kieszeni jego marynarki po pudełko zapalek z lajkonikiem, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł nade mną Romuś. Zimne nóżki zatrzęsły się na talerzu. Winogrona opadły do sosjerki. Romuś złapał mnie za rękę i ścisnął tak mocno, że świeczki stanęły mi przed oczami.

– Wychodzimy – zasyczał i pociągnął mnie do wyjścia.

Stanęliśmy za remizą. Byłam tak przestraszona, że na wszelki wypadek złapałam się piorunochronu. Nad moją głową wisiał sflaczały balon. Koczek skropiony lotionem rozkręcał się powoli w wilgotnym powietrzu.

– I co teraz powiesz, cwaniaro mała? Chciałaś mi rąbnąć portfel, co? – Pochylił się nade mną i poczułam odór rozkładającej się wódki.

– Nie, nie, ja tylko chciałam zobaczyć twoją etykietkę z Orbisu. Przysięgam.

– Co? Jaką etykietkę? Ty mi tu kitu nie wciskaj. Nie jestem aż tak pijany.

– Romuś, ja naprawdę zbieram etykietki. Spytaj, kogo chcesz.

Z remizy wybiegł korowód gości i jeden z pijanych kolegów Romusia zaczął się wydzierać na całe gardło: „Zakochana para! Zakochana para!”. Romuś pomachał mu przyjaźnie.

– Tam stoi moje auto. – Wskazał na wiśniowego malucha pod płótem.
– Jak nie przyjdiesz za piętnaście minut, to w poprawiny rozpowiem wszystkim, że chciałaś mi rąbnąć portfel.

Tego już było za wiele. Wpadłam do remizy po torebkę, oznajmiłam rodzicom, że zatrulałam się bigosem, i nie czekając na ich odpowiedź, wyminęłam pijanego wujka Lolka, ciotkę Salomeę w fioletowej ondulacji

i kelnerki niosące na tacach parujące flaki. Skierowałam się w stronę zaplecza, gdzie, jak wiedziałam, znajdowała się strażacka kanciapa, przesunęłam kaski i zakurzone sztandary Ochotniczej Straży Pożarnej, dostałam się do okienka, wyskoczyłam na płytę studzienki kanalizacyjnej i pobiegłam w szpileczkach przez zagon buraków prosto do domu.

Zostawiłam w sieni ubłocone buty, rozpałam w piecu, wyjęłam z szafki pudło z etykietami i uchyliłam fajerki. Pomyślałam, że raz na zawsze muszę z tym skończyć, bo te filumenistyczne zabawy wykończą mnie nerwowo. Wrzucałam kolejno etykiety do pieca i z dziwną satysfakcją patrzyłam, jak płoną: trzydziestolecia Peerelu, narodowe spisy ludności, rocznice Ochotniczej Straży Pożarnej, miesiące pogłębiania przyjaźni polsko-radzieckiej, dni walki z gruźlicą, reklamy zefirów king size mentolowych, Ruchu, Presto na muchy, Wólczanki, kawy Marago, kolekcje polskich ryb, grzybów i kwiatów zamawiane specjalnie u kioskarki z Wojsławic. Swąd palonej tektury i drzewnego papieru obudził babcię, która zajrzała do izby. Na jej widok uspokoiłam się trochę i schowałam resztę kolekcji z powrotem do pudła po butach, położyłam się w wymiętolonej sukni obok kota na wersalce i zasnąłam.

Tydzień później wybrałam się do sąsiedniego miasteczka oddać do szewca swoje jedyne szpilki, które połamałam w noc wesela na buraczanym polu. W Koziegłowach wpadłam na kuzynkę z Lgoty, która przyjechała do lokalnego domu towarowego wybrać meble na kredyt dla młodych małżeństw.

– Wiolka, Wiolka, czekaj no, coś ty zrobiła Romusiowi? – zapytała z wyrzutem, a ja spaliłam się ze wstydu, myśląc, że Romuś jednak spełnił groźbę i rozgadał wszystkim o mojej niby-próbie zwędzenia jego portfela. – Tak się biedny upił w poprawiny, że chłopaki musiały go wynieść z sali i zamknąć w strażackiej kanciapie, gdzie przespał do rana przykryty sztandarem.

DZIEŁA WSZYSTKIE

W roku 1989 Starszy Lajboś postanowił wybrać się na pielgrzymkę do Częstochowy razem z uroczymi licealistkami z parafii Świętego Antoniego. W intencji pomyślnego zdania egzaminu dojrzałości, oczywiście.

W czasie wolnym od trajkotania dziewczyn, po zwiedzeniu pola namiotowego oraz łaźni pod Jasną Górą, zdecydował się wpaść do księgarni naukowo-technicznej przy częstochowskiej filharmonii, gdzie zauważył na regale w kącie zakurzone tomy *Dzieł wszystkich* Lenina. Starszy Lajboś miał plecak ze stelażem, ponieważ w drodze do Częstochowy pół dnia taszczył prowiant uroczych licealistek. Natychmiast postanowił kupić za bezcen pięćdziesięciotomówkę Włodzimierza Iljicza.

W drodze powrotnej na pole namiotowe zgłodniał i zajrzał do karczmy Słupskiej przy ulicy Nowowiejskiego. Po dubeltowym mocnym i zjedzeniu dwóch jaj w majonezie dopadały go wyrzuty sumienia, ponieważ przypomniał sobie o chorej ciotce Jadzi, która mieszkała samotnie w bloku.

W końcu nie wytrzymał, kupił bilet, wszedł do tramwaju i pojechał na osiedle Północ. Jakaś babcia usiadła na jego plecaku i przysypiała na księgach Lenina. W tramwaju zrobiło się zamieszanie. Ktoś zaczął krzyczeć, że ukradli mu portfel, komuś wysypały się wiśnie z koszyczka, ktoś kogoś szturczał albo obmacywał, straszył kanarami. Podróż na Północ, mówiąc krótko, nie należała do przyjemności.

Po piętnastu minutach wysiadł z tramwaju trochę zmartwiony, ponieważ nie miał żadnego prezentu dla ciotki. Kamień spadł mu z serca,

kiedy za apteką zauważył skup makulatury. Natychmiast postanowił pozbyć się tomów Lenina, za które otrzymał zapłatę w postaci kilkunastu paczek papieru toaletowego. Ledwo wyszedł załadowany pakunkami ze skupu, gdy usłyszał za plecami:

– Ej ty, synek!

Odwrócił się i zobaczył kioskarkę, która wyglądała przez oklejone plakatem cyncatej Sabriny drzwiczki kiosku i potrzęsała trwałą ondulacją.

– Gdzie niesiesz tom srajtaśmę?

– Idę do cioci Jadzi – odpowiedział Starszy Lajboś.

– Jadzi Nowak? Tej z parteru?

– No.

– A po co Jadzi tyle papieru? Sama mieszka. Podrzucę jej gazety. Odsprzedaj mi choć kilka rolek. Dobrze ci zapłacę.

Starszy Lajboś szybko ubił interes z kioskarką i jak się okazało, w kilka godzin zarobił na Leninie pięciokrotnie. Kupił sobie drożdżówkę i usiadł na ławce przy placu zabaw, spojrzął w kierunku bloku ciotki, a potem w kierunku przystanku tramwajowego. Po kilkudziesięciu minutach był z powrotem w księgarni naukowo-technicznej przy częstochowskiej filharmonii i pakował do plecaka *Dzieła wszystkie*.

DOLCE VITA

Wyprałam w rękach jedyne dżinsy Mawin, jakie w tym czasie miałam, a które ojciec kupił mi od wędrownego handlarza, i powiesiłam je na rurce pieca, żeby wyschły. Woda ze spodni kapiała rytmicznie na podłogę i rozpływała się w niebieską kałużę. Postanowiłam skorzystać z nieobecności domowników, którzy poszli na imieniny do ciotki Salomei, zrobiłam z krzesel i kapy prowizoryczny parawan, przelałam wodę z kotła do plastikowej wanienki i zaczęłam się kąpać. Para pachnąca szamponem Familijnym unosiła się pod pokryty sadzą sufit i skraplała się na złotej twarzy Czarnej Madonny.

Nie mogłam doczekać się jutra, aby pojechać na rowerze do słynnego w całej okolicy domu Natki Roszenko. Właściwie to nie był dom Natki, tylko Cyngi, który, jak opowiadała Natka, wyjechał na kilka miesięcy w interesach do NRD.

Nazajutrz po obiedzie oznajmiłam matce, że jadę na rowerze do Natki. Matka zagroziła mi sobą drogę do stodoły, gdzie stał mój składak.

– Nie pojedziesz! To wstyd. Wszyscy we wsi wiedzą, co z niej za ziółko.

– Pojadę. Ty też do niej chodzisz w niedzielę i papierosy i węgierskie bluzki bierzesz.

Zapadła cisza. Zaskoczona matka przepuściła mnie.

– A jedź, jedź, skoro już taka pannica jesteś, ale żeby potem nie było!
– krzyknęła za mną zdenerwowana i pogroziła mi pięścią.

Skręciłam z gościńca na kamienną drogę, a potem na trasę, gdzie co rusz spadał łańcuch od roweru i kiedy go naciągałam, ubrudziłam ręce po

łokcie w smarze.

Zatrzymałam się przed dwupiętrową willą przy głównej ulicy Markowie. W fasadzie ozdobionej potłuczonymi kawałkami luster odbijało się popołudniowe słońce i dom wyglądał jak ogromne, falujące akwarium.

– Wchodź, wchodź! Mam dla ciebie nowe etykiety! – krzyknęła Natka przez uchylone okienko kuchni.

Wylałam ubrudzone smarem ręce w szmatę do podłogi, która suszyła się na kaloryferze, zdjęłam trampki w przedpokoju, weszłam do jasnego salonu i usiadłam na kremowej kanapie ze skóry. Ściany zdobiły dziwne kobierce i obraz z rozplywającym się w czerwonej i złotej farbie aniołem.

– To Pryjma-Tamioła^[8] – powiedziała Natka, która wyjrzała z kuchni przesiąknięta bazyliowo-pomidorowym zapachem spaghetti, ubrana w czarne dzinsy, ćwiekowy pas i czerwoną bluzkę.

– Kto?

– Ten obraz jest od Tamioły ze Lwowa.

– Aha, fajny, a kto cię tak nauczył gotować?

– Ja poznała w Pawianie Italiańca, który odwiedzał mnie często, kiedy Cyngi nie było w domu – zaśmiała się – i ten Italianiec pokazał mnie, jak zagotować te makarony.

Natka postawiła chyba ze dwie butelki sophii. Miałymy już nieźle w czubie, gdy pochyliła się nade mną, by zdjąć drobinę czarnej oliwki, która została w kąciku moich ust.

– Chyba pojedę do domu.

– A co się tak śpieszysz? Gdzie będziesz teraz po nocy pedałowac na tym swoim klekocie? Zostań do rana. Pooglądamy wideo. – Zamiast odpowiedzieć, beknęłam na cały salon. – Ty może wolałaby co innego?

[8] Roksolana Pryjma-Tamioła – ukraińska malarka, studiowała na ASP we Lwowie, uprawia przede wszystkim malarstwo olejne.

– Otworzyła barek, gdzie stały alkohole w fikuśnych butelkach i góra słodczy.

– Wybieraj bombonierę, śmiało. – Dotknęła moich włosów i pocałowała mnie z języczkiem. Stałam oniemiała na kolorowej macie.

– Masz przesuszoną skórę. Chodź, pokażę ci, jak temu zaradzić.

Natka chwiejnym krokiem zaprowadziła mnie do łazienki. Zatoczyła się na śliskiej podłodze.

– Na półce znajdziesz oliwkę lawendową. Wykap się, śmiało. Trzeba posmarować na mokrą skórę. – Uśmiechnęła się i wyszła z łazienki.

Rozejrzałam się. Wszystko lśniło czystością. Od podłogi do sufitu ściany były wyłożone kremowymi płytkami. Otworzyłam toaletkę. Oprócz indygowej Pani Walewskiej nigdy nie widziałam pewexowych opakowań Lancôme i Diora. Zwróciłam uwagę na fiolkę perfum z napisem „Dolce Vita”, która wyglądała jak kryształowa cukierniczka. Popsikałam nadgarstek. Zapach waniliowych babeczek i lata wypełnił łazienkę.

Bezwiednie zdjęłam dzinsy i rzuciłam je na pralkę. Weszłam pijana do wanny, a właściwie to wpadłam do wody.

– Chyba zaraz zwymiotuję – powiedziałam do siebie.

– Wołałaś mnie, Wioluś? – usłyszałam za drzwiami łazienki. – Mogę do ciebie? Zimno się zrobiło w domu.

Nie odpowiedziałam. Po chwili Natka siedziała razem ze mną naga w wannie. Poczulałam na pośladku jej kolące, wygolone łono. Szczipłe i nieproporcjonalne ciało z bordowymi, małymi sutkami przypominało w wodzie chrząszcza o wydłużonym ciele, którego nazwy nie pamiętałam, ale widywałam go czasem przy brzegu stawu. Miał na pokrywach dwa czerwone punkty. I wtedy coś mnie tknęło, jakieś dziwne wspomnienie burzowego dnia, wizje wyskakujących zza obrazów pajaków. Zakręciło mi się w głowie. Kaczuszki przyklejone do płytek zmieniły się w żółte gnomy i wyciągały do mnie ohydne, pokryte kurzajkami łapy. Wskoczyłam jak

oparzona z wanny, ubrałam się szybciej niż podczas pobudki na biwaku harcerskim i bez pożegnania wybiegłam z willi.

WŁADCY ZŁOMU

Na początku czerwca osiemdziesiątego dziewiątego urosły mi piersi i chłopaki z klasy zaczęły mi dokuczać. Starszy Lajboś usiadł raz za mną na muzyce i strzelał mi z biustonosza. Wygrywaliśmy wtedy na cymbałkach melodię *Te opolskie dziolchy*. Na „la” modliłam się, żeby durna lekcja wreszcie się skończyła, na „sol” wypadła mi pałeczka z dłoni i zawalił się przedwojenny piec kaflowy.

Gdy wróciłam do domu, opowiedziałam dziadkowi przygodę z piecem, a on, nic nie mówiąc, podszedł do szafy, poszperał wygiętym drutem w dziurce od klucza, otworzył skrzypiące drzwiczki, wyjął z pałta kajecik i postawił krzyżyk w tabelce przy roku 1934.

– Piec trafił szlag, ale robota była pierwsza klasa. No, pokaż mi na Hektarach taki piec, który przez cały wiek nikogo nie zaczadził.

Dziadek był między innymi zdunem i zapisywał historię wszystkich pieców, które sam zbudował. Nikt pewnie nie policzyłby, ile tych pieców postawił w parani Świętego Antoniego. Tego dnia zaprowadził mnie wieczorem na pole i pokazywał badyłem okolicę.

– Widzisz te dymy z kominów? To moje. Pilnuję ich. Staję wieczorem na górze i patrzę, jak kopcą i czy równo idą w chmurę.

Po tym jak piec kaflowy zapadł się w naszej klasie, dziadkowie dzieło wywieźli w kawałkach na tacze i porzucili za śmietnikami. Następnego dnia wszystkie zabytkowe kafle znikły i zostały po nich żółte pieczęcie na trawie. W szkole zaczęli robić centralne i wszystkie klasy miały łączone lekcje. Na długiej przerwie dyrektorka zebrała wojsławicką podstawówkę na apelu przed szkołą i przeczytała referat po

tytułem *Tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego*, który uśpił nawet woźnego. Następnie poleciła przewodniczącej samorządu uczniowskiego utworzenie Szkolnego Koła Budowy Centralnego Ogrzewania, mającego przeprowadzić do końca roku zbiórkę złomu, po czym spojrzęła na zegarek, odwróciła się na obcasie i wróciła do swojego gabinetu.

Kilka dni później przewodnicząca samorządu uczniowskiego podzieliła nas na trzy grupy i oświadczyła, że drużyna, która zbierze najwięcej, pojedzie w nagrodę na wycieczkę do Warszawy. Zostałam przydzielona do Hektarów razem z braćmi Lajbosiami, Wielkim Witkiem i Justyną. Na początku każdy przytargał jakieś metalowe rzęchy z domu. Wujkowi Lolkowi, który cały dzień nic nie robił, tylko palił fajkę, hodował nutrie i bujał gołębie, zabrałam z szopy trzy ramy od składaka oraz błotnik, ale kiedy okazało się, że nasza kupka złomu jest najmniejsza, zrobiliśmy tajne zebranie w pustakach, podczas którego przygotowaliśmy plan operacyjny B. Na specjalnie sporządzonej mapie Hektarów oznaczyliśmy punkty zbiórki złomu. Najpierw penetrowaliśmy stodoły i strychy, zagląдалиśmy do każdej komórki, każdej dziury i chałupy, a następnie poszerzyliśmy poszukiwania na dalsze okolice, poza polem księdza – Świnicę, Kolonię, Sarni i Boży Stok.

Pomimo zbliżającego się zakończenia roku zbieranie złomu pochłonęło nas bez reszty. Rodzice mówili, że dostaliśmy na tym punkcie hopla, i schodzili nam z drogi. Żelastwo śniło mi się w nocy, kusiło w poniemieckich bunkrach w pobliżu Zendka, we wnętrzach ziemianek, kopców i w rezerwacie Cisów. Zaczęłam zauważać przedmioty, które wcześniej nie budziły mojego najmniejszego zainteresowania. Koła od młockarni, kotwy, śruby, błotniki, stare kable i rury działały na mnie jak magnes. Po miesiącu kompletnie zwariowaliśmy, zagląдалиśmy w każdą dziurę, włóczyliśmy się po budowach, kamionkach, pustostanach i polach pegeeru.

Pewnej nocy jakimś cudem udało nam się przeprowić ze Świnicy na Hektary przez Rzeniszankę z kilkoma blachami, które schowaliśmy w trzcinach. Mokrzy, wymęczeni, z drzazgami pod paznokciami wracaliśmy powoli do domów, zostawiając mokre ślady stóp na kamiennej drodze. W pewnej chwili z bramy tuż przy willi dyrektorki wyskoczył doberman, stanął przed nami jak pies Baskerville'ów i złapał zębami nogawkę Młodszego Lajbosia. Przestraszyłam się, że za chwilę skoczy mu do gardła, więc niewiele myśląc, wyrwałam z płotu spróchniałą sztachetę i uderzyłam psisko w czarny zad. Pies przyskoczył do mnie, zawarczał, pokazał brunatne dziąsła. Nagle na ganku willi zapaliło się światło i w pełnej krasie – w wałkach na głowie, bamboszach i różowym szlafroku – stanęła dyrektorka, wrzeszcząc:

– Pikuś, Pikuś do domu!

Pies pomachał przyjaźnie ogonem, przedostał się przez dziurę w siatce i czmychnął na podwórko. Odetchnęliśmy. Za ten bohaterски czyn dostałam od chłopaków odznakę wyrzeźbioną na kawałku kory i wielkiego słonecznika z pegeeru.

Minęły dwa tygodnie. Spotkaliśmy się w skrytce w pustakach. Wielki Witek przykleił sobie komiks z gumy Donald na czole i powiedział, że mamy mniej złomu niż drużyna z Wojsławic i musimy iść do domu Balwierki.

– Ogłupiałeś? Przecież tam straszy – powiedziała Justyna.

– Nie może straszyć, dopóki Balwierka żyje. Macie cykora i tyle – stwierdził Wielki Witek.

– Mogę się założyć, że nie ma u niej żadnego złomu – powiedział Starszy Lajboś.

– Dobra, zakład. Jak znajdziemy tam choćby pięć kilo, to wskoczysz do szamba.

– Niech ci będzie. Wiolka, przetnij – zwrócił się do mnie Wielki Witek.

Dla świętego spokoju przecięłam ich dłonie związane w geście zakładu i wyszliśmy ze skrytki w pustakach.

W domu Balwierki woda kapiała z sufitu i wygrywała marsz w zardzewiałej misce. Na nocnej szafce przy łóżku stały fiolki z lekarstwami. Linoleum i chodnik śmierdziały walerianą, moczem i mydlarskim ługiem.

– Dzień dobry. Jestem od babci Stefanii. Poznaje mnie pani? – powiedziałam i usiadłam na rogu łóżka, z którego uniosły się obłoki kurzu, wpadły w pręgę światła i zawirowały w niej leniwie. Staruszka skinęła głową. – Przyniosłam pani coś od babci. – Podałam jej tytkę z ciastkami. Balwierka wzięła ją i zaczęła jeść łapczywie. Gdy torebka była pusta, wylizła z niej resztkę pudru, odwróciła się do ściany, na której wisiała płócienna makatka z wyhaftowanym jeziorem i różowymi flamingami, i zasnęła.

– Ty, Wiolka, co jej jest? – zapytał Młodszy Lajboś.

– Nie wiem. Chyba zasnęła – odpowiedziałam smutno.

– Skoro przeżyła najazd ruskiego czołgu, to i teraz da radę – zażartował Starszy Lajboś.

– Ej, zajrzyjmy do piwnicy. Może tam jest jakiś złom – wyszeptał Wielki Witek.

Odsunęliśmy klapę i zeszliliśmy kolejno po drabinie do piwnicy, ale oprócz dwóch świeczników, krucyfiks i dziurawej metalowej miski nie znaleźliśmy tam żadnego złomu. Za to w skrzyni pod sianem Wielki Witek wyniuchał cztery butelki swojskiego wina. Starszy Lajboś odtykał szczyrykiem butelki. Rozlewaliśmy wino do słoików. Napój z pływającymi kawałkami korka był gęsty jak na wpół zsiadła galaretka, smakował jak stęchły kompot z czarnej porzeczki. Usiedliśmy w kręgu na glinianej polepie i zaczęliśmy grać w butelkę na pocałunki. Młodszy Lajboś zakręcił pierwszy i gdy szyjka wskazała na jego brata, wszyscy wybuchli śmiechem. Graliśmy tak do północy. Nigdy jeszcze nie miałam

tylu obcych języków w ustach i następnego dnia zrobiło się mi od tego zimno na wargach.

W niedzielę nie szukaliśmy złomu. Pod wieczór spotkaliśmy się w brzezynie, nabieraliśmy suchych gałęzi i zaczęliśmy szykować ognisko na pieczonki. Dno żeliwnego sagana posmarowaliśmy słoniną, a potem na przemian układaliśmy warstwami pokrojone w plastry kartofle, marchewkę, czerwone buraki, cebulę, kiełbasę, natkę pietruszki, seler, por, na koniec przyprawiliśmy wszystko liśćmi laurowymi, solą, pieprzem i przykryliśmy młodą kapustą. Ułożyliśmy sagan na specjalnie przygotowanym palenisku z cegieł. Wielki Witek przyniósł z domu bańkę kwaśnego mleka, niezastąpiony napój do naszego dania.

– Ma kto kawałek papieru? – zapytał Starszy Lajboś, pochylając się nad ogniskiem.

– Skoczę do babki. Ona trzyma „Gościa Niedzielnego” pod siennikiem – zawołał jego brat i po chwili był z powrotem z gazetą ze świętą Faustyną na okładce. Starszy Lajboś podłożył suchą trawę pod patyki i podpalił papier. Wielki Witek roześmiał się i powiedział, że to chyba zasługa tej świętej Faustyny, bo zwykle rozpalanie ogniska zajmowało Starszemu Lajbosowi kilkanaście minut. Gdy pieczonka zaczęła pachnieć tak, że wszystkie hektarowe Burki, Miśki i Reksy dostały ślinotoku, chłopcy włożyli podbieraki z patyków w ucha kociołka i wyciągnęli go z paleniska, a potem nakładali na opłukane liście łopianu bordowe porcje pieczonych kartofli.

Po zjedzeniu pieczonki umyliśmy sagan piaskiem. Starszy Lajboś uparł się, że odprowadzi mnie do domu, choć od brzeziny na moje pole był rzut beretem. Ruszyliśmy w stronę stawu, deptając po drodze młode purchawki. Dym piekł nas w oczy. Obydwoje pachnieliśmy jak kabanosy. Nasze ręce spotkały się w ciemności. Starszy Lajboś zatrzymał się, spojrział na mnie dziwnie, wytarł rękawem mój osmolony piegowaty

policzek i podał mi kawałek tekturki. Spojrzałam na prezent i rzuciłam mu się z radości na szyję. Była to etykieta zapalczana, której długo szukałam – ZPZ Czechowice: „Więcej złomu. Więcej stali. 64 zapalki, 25 groszy”.

– Gdzie to masz? – spytał ściszoneg głosem.

– Zaraz przyniosę.

Podeszłam do płotu, wymacałam w ciemności lukę między sztachetami a omszałym kamieniem i wyjęłam słoiczek butaprenu, który wykradłam rano z ojcowej skrzynki z narzędziami do wyprawiania. Usiedliśmy w pustej żelbetonowej rynnie. Starszy Lajboś skapnął miodową maź do woreczka. Wąchaliśmy na zmianę. W gęstej i nieprzeniknionej ciszy usłyszałam rytm swojej krwi. Pod folią, która się nadymała i opadała jak biała meduza, rozmnożyły się ławice ryb, łaskotały mnie płetwami w nos i gardło. Zaczęłam chichotać. Leżałam pod ortalionową kurtką. Starszy Lajboś wtulił głowę w moje piersi i zaczął mnie pieścić. Gdy włożył mi rękę do majtek, próbowałam się odsunąć, ale przytrzymał mnie lekko. Kwiatuszki wydrukowane na bawełnianym materiale zwilgotniały. Spojrzałam na niebo. Dyszel Wielkiego Wozu pulsował metalicznym blaskiem na największym złomowisku świata. Zadrzałam, rozchyliłam uda i gdy poczułam w środku palec Starszego Lajbosia, usłyszałam za leszczynami głos matki:

– Wiolka, do domu! Ile razy mam cię wołać?!

Po dwóch tygodniach zbierania żelastwa nasza piątka stała się postrachem Hektarów, Kolonii i Świnicy. Każdemu mógł zniknąć nagle jakiś zawias w bramie, łańcuch, klucz, kotwy od drzwiczek, każdemu mogliśmy uczynić jakiś ubytek w gospodarstwie i w życiu. Najbardziej lubiliśmy włóczyć się po dzikich śmietniskach, które miejscowi organizowali w opustoszałych kamionkach; rozbajaliśmy młotkiem stare lampki i radyjka, wysadzaliśmy w ogniskach dezodoranty.

Gdy zbliżył się ostatni dzień zbiórki, Starszy Lajboś powiedział, że

załatwił od wujka tyle złomu, że na pewno nie damy rady go udźwignąć, i dlatego musimy od kogoś pożyczyć wózek, aby dowieźć złom do szkoly. Następnego dnia rano załatwiłam wózek od dziadka, którym przewoził siano z pola do stodoły. Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że rzeczywiście wujek Starszego Lajbosia ma całą szopę gratów. Załadowaliśmy je na wózek, wypiliśmy po szklance mleka prosto od krowy i powoli zaczęliśmy ciągnąć naszą zdobycz do domu.

Nagle wózek załadowany złomem i związany faleniami zaczął się staczać w stronę przepaści. Staraliśmy się go zahamować, ciągnąc dyszel z całej siły, ale Młodszy Lajboś nie wytrzymał, puścił belkę, zsunął się po mokrej trawie w dół i zawisł nad urwiskiem. Resztkami sił chwycił się czegoś, nie wiem, korzeni albo ostrężyn.

– O Jezu, Jezu! – zapiszczała Justyna. – Młodszy zaraz spadnie!

– Nie oglądajcie się na Młodszego, tylko trzymajcie! – krzyknął Starszy Lajboś, ale i on w końcu puścił dyszel i rzucił się na trawę tuż przed miejscem, gdzie wisiał jego brat, i wyciągnął rękę, żeby go ratować.

– Te, podłóż wpierrw pod wózek jaki kamień! Kamień, słyszysz, kurwa?! – zawołał do niego Wielki Witek.

Wózek był coraz bliżej i bliżej urwiska. Nie mogliśmy go już dłużej utrzymać. Starszemu Lajbosiewi udało się w ostatniej chwili wyciągnąć brata. Odskokczyliśmy prawie jednocześnie i puściliśmy dyszel. Wózek przechylił się i zsunął w dół do głębokiej, wypełnionej ciemną wodą kamionki. Nasz zdobyczny złom, nasza przepustka do czerwonego paska i wzorowego sprawowania na świadectwie, nasze wymarzone bilety do Warszawy spadały razem z nim w przepaść, ale nie zwracaliśmy już na to uwagi. Leżeliśmy na podeptanej trawie jak napęczniałe wodą faszyny słomy, spoceni, bezwolni, z obolałymi rękami, ale dziwnie spokojni.

– Koniec ze zbieraniem złomu – powiedziałam lekko zachrypniętym głosem.

– Niech się dyra wali z tym konkursem – dokończył za mnie Starszy Lajboś. Inni nam przytaknęli.

Popatrzyłam w kierunku wioski. Dymy z dziadkowych pieców szły równo w chmury.

Słońce nad polami zachodziło rdzą.

POWRÓT ZORRO

Gdy mama wyjeżdżała czasem do siostry z Katowic, ojciec sprowadzał do domu kolegów z papierni na partyjkę pokera. Spałam wtedy w stołowym i nie miałam nic lepszego do roboty niż podsłuchiwanie rozmów kompanii ojca, ponieważ panowie opowiadali niestworzone rzeczy o srebrnych lisach, akcesoriach wędkarskich, filmach z Rambo, przygodach w wojsku. Tylko pan Tadek o wyglądzie kościelnego zwykle przytakiwał kolegom i nic o sobie nie opowiadał.

Pewnej nocy, gdy wszyscy już ledwo siedzieli na krzesłach, zdrzemnąłam się, a kiedy się obudziłam grubo po północy, usłyszałam opowieść pana Tadka, z której wynikało, że nie był on wcale kościelnym, tak jak myślałam, tylko znanym w całej Europie kieszonkowcem po wyrokach. W siedemdziesiątym trzecim jego ojciec wdał się po pijaku w bójkę i wzięli go do więzienia na trzy lata. Matka pracowała w sklepie spożywczym, zarabiała grosze i ledwo wiązała koniec z końcem. Gdy Tadek skończył trzynaście lat, próbował jakoś pomóc matce, zbierał puszki i butelki po pielgrzymach w parku Staszica pod Jasną Górą. Pewnego razu spotkał tam baciara ze Lwowa, który nauczył go fachu, to znaczy zrobił z chłopca doliniarza. Za pierwszą zrabowaną skórę^[9] Tadek kupił sobie górę ciastek u Bliklego, a kolegom z Krakowskiej podarował kostiumy Zorro. Tadziewi nie szło w zawodówce, za to był bardzo pilnym uczniem baciara ze Lwowa. Przynosił do domu coraz więcej pieniędzy, kupił matce skórzaną torebkę i garsonkę, a wszystkim opowiadał, że dorabia w warsztacie szewskim znajomego, podczas gdy tak naprawdę

[9] Skóra (żarg.) – portfel.

grasował z baciarem na berzach^[10] w Warszawie, Bratysławie, Berlinie i Wiedniu.

– Czasem udało się zarobić dwadzieścia koła miękkich w dziesięć minut – powiedział na koniec pan Tadek, a ja omal nie udławiłam się z wrażenia chałwą.

Ojciec znał dobrze pana Tadka, więc w przeciwieństwie do mnie jednym uchem wpuszczał, a drugim wypuszczał jego opowieści. Tej nocy tacie nie szła karta, co jakiś czas przerywał grę, biegał do sieni po nowe słoiki kiszonych ogórków i grzybków, dokładał ognia do piecyka, kombinował, jak by się tu wymigać od kolejnego rozdania, i pokazywał kolegom sztuczkę ze znikającymi monetami.

Sztuczkę tę rozgryzłam dopiero niedawno, kiedy dowiedziałam się, że ojciec zamówił u znajomego tokarza z Cynkowa specjalną złotówkę, która miała wydrążoną reszkę. Jej średnica była trochę większa niż średnica normalnej monety, więc kiedy ktoś kładł na stole swój bilon, wystarczył tylko sprawny ruch dłoni ojca i cudzy pieniądz na zawsze znikał we wnętrzu magicznej złotówki.

Niestety ojca nie uratowały smakołyki, grzybki, sardynki, ślimaki z puszek; nie uratowała go nawet sztuczka ze spaloną zapalką, na którą nawijał niewidzialną nitkę i precyzyjnym szarpnięciem utraçał jej zwęgloną główkę. Gra trwała dalej. A gdy ojciec nie miał już nic do przegrania, obiecał kolegom wyprawić po trzy skórki z pizmaków.

Rano ojciec wypił dwie sodki i starał się zebrać do pracy: biegał po izbie, przewracał butelki, zamykał i otwierał drzwi szafy, płacząc się w kable wystające zza segmentu.

– Boże, Boże, gdzie jest mój portfel?! Miałem go wczoraj w kieszeni marynarki! – krzyczał na cały dom, aż wszystkie lepy zakołysały się przy żyrandolach.

[10] Berza (żarg.) – dworzec.

– Cicho, tata, obudzisz dziadka – powiedziałam zaspanym głosem z drugiego pokoju. – Po co ci teraz portfel, skoro i tak całą wypłatę przegrałeś?

Zapadła cisza.

– Całą? E, odrobnię, mam do wyprawienia jastrzębie, a teraz muszę znaleźć portfel, bo tam jest mój bilet miesięczny.

Sprawa zagubionego biletu wydała mi się dość poważna i choć byłam niewyspana i nafaszerowana historyjkami z kryminalnego półświatka jak numer „Detektywa” potrafiłam przewidzieć, co się stanie za godzinę, gdy mama wróci od siostry z Katowic, zobaczy ten bałagan i przyłapie ojca w domu, w dodatku w takim stanie. Wskoczyłam spod pierzyny, napiłam się wody prosto z odgazowanego syfonu i pomogłam ojcu szukać portfela. Patrzyliśmy pod stołem i pod łóżkiem, w szafie, kryształach i w węglarce. Portfel zapadł się pod ziemię.

– Może się pomodli do świętego Antoniego: „Niech się spełni wola Twoja, niech się znajdzie zguba moja” – odezwał się ze swojej izby dziadek, czym mnie bardzo zaskoczył, bo myślałam, że od dawna nic nie kojarzy.

– Dziadek, ale jak, skoro tata nie wierzy w świętych?

– Ta, on wierzy tylko w swoją partię. To niech się do niej modli, może ta partia odda mu portfel, przeciucaną wypłatę i kamienicę w Sosnowcu i nie będzie musiał więcej chodzić do roboty.

– Dałby już teściu spokój. Jak tak można gnębić człowieka z samego rana – skomentował jego słowa ojciec, zrezygnowany usiadł na krześle i położył głowę na stole.

W pewnej chwili coś mnie natchnęło. Zajrzałam do szklanej kury na jajka i między kartkami na papierosy zauważyłam portfel ojca. Sprawdziłam jego zawartość. Niczego nie brakowało. Z książeczki pko wypadła na podłogę karteczka ze znakiem Zorro. Chciałam ją pokazać

ojcu, ale on złapał bilet i pognął jak szalony na przystanek.

SPÓŹNIONE DOKARMIANIE PSZCZÓŁ

W niedzielę, zaraz po obiedzie, ojciec zaczął wyprawiać skórki piżmaków i zaciął się brudnym szczyrykiem w palec. Wokół rany zrobił się pomarańczowy rumień. Gdy ojciec dostał gorączki, spuchły mu węzły chłonne, a na plecach pokazały się wybroczyny, matka zadzwoniła od sołtysa na pogotowie. Karetka przyjechała po dwóch godzinach i z podejrzeniem zakażenia krwi zabrała ojca na sygnale do szpitala, gdzie, jak opowiadała matka, wymienili mu krew i pompowali do brzucha lekarstwa specjalną pompą.

Po trzech tygodniach ojciec jakimś cudem wykaraskał się z choroby, ale gdy wrócił do domu, ledwo go poznałam: schudł dziesięć kilogramów i prawie zupełnie stracił słuch. Jego oczy wyblakły, a śniada wcześniej twarz przybrała kolor korzenia chrzanu. Ojciec dostał L4 i na jakiś czas przestał chodzić do papierni. Budził się o siódmej, zarzucał na ramiona kurtkę moro i obserwował przez okno w stołowym staw i ule, które stały pomiędzy łysymi krzakami porzeczek. O dziewiętej mył się, przebierał w koszulę, ulubiony, przyciasny sweter w czarno-białe romby i zakładał mokasyny. Po wypiciu dwóch surowych jaj oglądał stare albumy z rybami i ptakami, które przyniósł kilkanaście z działu makulatury z papierni, albo wyjmował ze skrzynki z akcesoriami do preparacji stary nóż myśliwski z rączką zakończoną kopytkiem jelonka; otwierał go i zamykał, jakby grał w jakąś grę. Tak było prawie codziennie: nie wyprawiał już zwierząt, nie grał w pokera, nie chodził na ryby i coraz rzadziej do kogokolwiek się

odzywał.

Ożywił się dopiero wtedy, gdy przeczytał w „Pszczelarstwie”, że mróz podczas ostrej zimy zniszczył wiele pasiek w południowej Polsce. Ojciec jak oparzony wstał z wersalki, przyniósł z kredensu osmolony rondel, wsypał do niego dwie tytki cukru i zalał je wodą z czajnika. Po kilkunastu minutach złota melasa zaczęła wrzeć. Pęcherzyki powietrza uciekały z rondla, dotykały spuchniętych palców ojca. Okopconca izba wypełniła się przyjemnym zapachem karmelu. Ojciec wybiegł na dwór w samych papuciach, ślizgając się po oblodzonej ścieżce, i zaczął montować na wylotach uli podkarmiaczki wycięte z plastikowych butelek, po czym wypełniał je do połowy przestudzonym syropem.

Po godzinie wrócił do domu i zrezygnowany usiadł na wersalce, która zachwiała się na brzoźowych kołkach.

– Spóźniłem się, cholera jasna – wyszeptał żałośnie i wytrzepał z papucia śnieg na podłogę. – Zapomniałem dokarmić je jesienią i wszystkie roje się osypały.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu miałam okazję przyjrzeć się mu z bliska i zauważyłam, jak się postarzał w ciągu ostatnich tygodni. Nie czernił już wąsa sadzą ze spodu czajnika i wyglądał tak, jakby przykleił sobie pod nosem zbutwiały listek. Przestał też pokazywać się w krawacie, a jego śnieżnobiałe koszule zaczęły tęchnąć w szafie. Ojca chyba zawstydziło moje badawcze spojrzenie, bo odwrócił twarz w stronę okna.

Nie wiedziałam, jak go pocieszyć. Szkoda mi było i ojca, i pszczoł, ale nie dawałam tego po sobie poznać. W tym czasie w mojej nastoletniej głowie kłębiło się tyle myśli naraz, że najchętniej milczałam albo w tajemnicy przed matką zakradałam się do szafki z lekarstwami i popijałam coraz więcej kropli pachnącego miętą i chmielem milocardinu. Wyjęłam z pudła etykietkę Gdańskich Zakładów Zapalczanych – „Pszczoły twoim sojusznikiem, 48 zapalek, 30 groszy” – i podałam ją ojcu, a potem,

korzystając z nieobecności dziadka, którego zawsze denerwowało moje szwargotanie, ubrałam się w kurtkę i poszłam do nieogrzewanego stołowego, żeby się tam uczyć słówek na sprawdzian z niemieckiego.

Po godzinie wolframowe druciki w żarówce jak dwie bliźniaczki komety zarumieniły się, zamigotały i zgasły, ale nikt w domu nie zwrócił na to uwagi. Przyzwyczailiśmy się do życia w ciągłym półmroku, bo albo licznik wywalał korki, wichura zrywała druty, albo elektrownia wprowadzała dziesiąty stopień zasilania. Tego wieczoru siedzieliśmy w świetle pieca jak przedpotopowe owady zatopione w bursztynie: ojciec pogrążony w swoim nowym świecie stłumionych dźwięków, ja odurzona milocardinem i nieregularnymi formami niemieckich czasowników. Powietrze falowało nad rozgrzaną rurą pieca. Iskry sypały się z popielnika i znikwały na marmurkowym gumolocie jak meteoryty w ciemnym, gęstym oceanie.

Ojciec wpatrywał się z zadumą w pszczołę wpisaną w symetryczny kwiat słonecznika na etykietce, którą mu podarowałam, a potem zerwał liść bluszczu pnącego się po żyłce od lampy do futryny drzwi i zaczął grać na nim tak przejmującą balladę, aż ciarki przeszły mi po plecach. Pod wpływem muzyki ojca, której po raz pierwszy słuchałam z przyjemnością, coś się we mnie zbudziło i wyrwało z apatii. Poczulałam zapach palonych gałęzi jałowca, zobaczyłam cygański tabor, ludzi w kolorowych strojach przeskakujących płonące obręcze na leśnej polanie. Ojciec przestał grać, skulił się na wersalce jak dziecko i leżał bez ruchu. W oknie mignął cień królowej pszczoł.

GUGUŁY

Kierowniczką kolonii wysadziła mnie przy trasie. Zaczekałam, aż nakrapiany plamkami rdzy biały polonez zniknie we mgle za Jowiszem, i ukradkiem ocierając łzy, przeszłam na drugą stronę krzyżówki. Tam skręciłam obok rzędu glinianych krasnali na Hektary, minęłam przystanek, staruszki sprzedające przy trasie grzyby i jagody, minęłam święte źródło, po którym zostały tylko dziura w ziemi i kawałek omszałej rynny. Wioska z drogami wyłożonymi świeżym asfaltem i tablicami ulic – Długiej, Kryształowej, Zielonej i Polnej – wydawała się teraz jakaś obca, jakby ktoś pospinał ją czarnymi gumkami z dętki.

Skręciłam na nasze podwórko. Na płocie powiewała klepsydra. Na wieku trumny opartym o ścianę przez chwilę odpoczywał bielinek. Bałam się wejść do domu. Przysiadłam przy furtce. W ciągu dwóch ostatnich tygodni sierpnia, które spędziłam na koloniach, dach stodoły zdążył zmienić kolor ze zgniłozielonego na brunatny.

W końcu weszłam na ganek, położyłam plecak przy zasłonie i poczułam zapachy majeranku i topionego wosku. Było tak cicho, że usłyszałam gruchające na strychu gołębie. W kuchni dziadek czekał na mnie z nożyczkami i grzebykiem.

– No wreszcie jesteś. Obetniesz mnie?

– Później, dziadek. Teraz nie mam siły.

– No ale jak ja taki wyjdę na czuwanie?

– Najpierw muszę zobaczyć, jak matka – przerwałam mu i usiadłam zmęczona na skraju łóżka.

– Ona? Dobrze... Paznokcie to sam, ale włosy? Podetnij tylko na

karku i przy uszach.

– Dobra, dawaj, tylko szybko.

– No uwijaj się, bo matka zaraz tu przyjdzie.

Zarzucałam mu kraciatą ścierkę na plecy i tak jak mnie nauczył ojciec, a jego nauczył przedwojenny fryzjer w więzieniu, podkładałam grzebyk pod włos i wywijalałam nożyczkami na wszystkie strony. Siwe pukle spadały do węglarki, a dziadek bacznie przeglądał się w lusterko, pilnując, żebym nie obcięła mu, jak mawiał, fali Dunaju nad czołem.

Do kuchni zajrzała blada matka ubrana w czarny żałobny kostium. Widać było po niej, że nie spała całą noc. Pocałowałam ją w policzek na przywitanie.

– A wy co? Wstydu nie macie? Śmieciecie przed czuwaniem?

– No cicho, cicho, Zośka, sam ją prosiłem. Przecie nie pójde na pogrzeb taki zarośnięty – odpowiedział dziadek.

– Mieli cię przywieźć wczoraj, a nie dopiero na czuwanie – zwróciła się do mnie matka chłodno i podała mi milocardin. Napiłam się prosto z butelki.

– Nie chcieli tak od razu. To kawał drogi z Mazur.

– Mogłaś po drodze zadzwonić do sąsiadki.

– Nie miałam kasy na żetony.

– Na piecu jest żurek. Nalać ci?

– Nie jestem głodna.

– Należę ci, bo potem nie będzie jak.

Gdy skończyłam strzyc dziadka, umyłam ręce i poszłam do drugiego pokoju. Drzwi do stołowego były zamknięte. Matka ustawiała rząd krzesel przy meblościance. Na parapecie zauważyłam gromnicę, modlitewnik, różaniec i ciasto przykryte serwetkami i rozłożone na paterach. Złapałam kawałek murzynka i pomogłam jej ustawiać krzesła.

– Ty mi się teraz nie podchlebiaj – powiedziała i delikatnym

uśmiechem dała mi znać, że wybacza mi moje spóźnienie.

Rozejrzałam się po pokoju. Wszystko było na swoim miejscu: zastawa z porcelitu, która zawsze służyła tylko za ozdobę, bo w cukiernicze z obitym uszkiem trzymało się guziki i śrubki, szklana kura na jajka i ryba, kamionkowe bibeloty, góralski domek barometryczny z góralką wychylającą się na deszcz i góralem na słońce, kogutki osikowego łyka, książki, które ojciec wyratował z działu makulatury papierni w Myszkowie, i kolekcja puszek po piwie, jako ukoronowanie segmentu. Plama na suficie, która wcześniej przypominała kształtem staw za domem, wezbrała i stała się rzeką, a jej delty ciekły po ścianie, poiły grzybnie pod podłogą.

Pomyślałam, że takim kamiennym prosektorium jest ten nasz dom. Chłodnia z przekrwionymi oczami piecyka, gdzie do fetoru rozkładających się zwierząt przyzwyczaiałam się jak do słodkawego zapachu chleba. Nad progiem wisiał drewniany krzyż, ale tutaj coś innego było prawdziwą religią: przenajświętsze księgi zoologii, albumy z ptakami i rybami namaszczone alunem i zaschniętymi plamami butaprenu, wypatroszone z watoliny kufajki czekające wiernie na dnie szafy, aż mistrz ceremonii wróci po południu z fabryki papieru, rozłoży gazety na stole i rozpocznie swój obrzęd preparacji.

Mama podała mi w garnczku gorący żurek.

– Wypij szybko i idź do stołowego. – Uchyliła dwuskrzydłowe drzwi i wepchnęła mnie do środka. – Musisz.

Poparzyłam sobie wargi zupą i stanęłam w progu. Na stole leżała trumna: ładna, polakierowana, obłożona wieńcami.

Ojciec w trumnie? Czy to on? Może to nie on, tylko jego wypchany sobowtór? Na klapie marynarki zaschnięta kropla wosku wyglądała jak odprysk żółtego paznokcia. Mucha usiadła na koronkowym podglówku.

– Sio, mendo! Jeszcze się załęgiesz – wyszeptwała matka. – Zobaczę,

może packa jest w kredensie. – Wyszła.

Usiadłam na krześle obok trumny, dotknęłam lodowatej dłoni ojca.

Zobaczyłam ośmioletniego chłopca. Znowu nie poszedł do szkoły, schował się w zbożu, odgarniał z czoła kręcone włosy, wyjął z tornistra zawinięte w szary papier kromki z pasztetem, ale nie zjadł ich, tylko rzucał okruchy krążącym w pszenicy kuropatwom. Podniósł głowę, popatrzył prosto w słońce, a potem zacisnął powieki z całej siły, a w migających plamkach pojawiła się twarz mamusi, która niedawno umarła w Sosnowcu. Mówili, że grypa osłabiła jej serce. Na płycie z ciemnego grysu był napis: „Sabina Rogala z domu Szydło”, gwiazdka i rząd liczb, krzyżyk i rząd liczb. Zapamiętał jej czarny warkocz i sposób, w jaki kroila bochenek chleba, opierając go na piersiach. Kuropatwa podeszła bliżej. Rysiu ostrożnie zdjął kataną i rzucił ją z rozmachem na zboże. Już, już trzymał ptaka, który fikał pod materiałem jak kukiełka.

Po śmierci mamusi wszystko się zmieniło. Rysiu nie był już małym chłopcem, wiedział, że tato – milicjant – nie wróci na noc do domu. Rysiu sam obierał sobie jabłko, potem je zjadał, i skórki też, a gdy i skórki nie było, possał kostkę cukru albo robił kulki z płatków owsianych. Następnego dnia przyszła pani sąsiadka, dała Rysiowi kromkę chleba ze smalcem. Po niej przyszła inna pani z teczką i zawiozła go autobusem na wieś do dziadków Szydłów, którzy mieszkali pod lasem w drewnianej chacie z dachem przykrytym papą. Jakie małe okienka były w tym domu. Z pierzyn wypchanych stęchłym pierzem wystawały czerwone podszewki i gdy Rysiu dostał odry, spał tylko pod tymi podszewkami, bo babcia mówiła, że czerwień wyciąga gorączkę. W nocy Rysiu się bał, wołał mamusię i musiał spać na parapecie okryty derką i świeżymi liśćmi orzecha włoskiego, żeby mu pluskwy nie dokuczały. Po świętach dziadek wyciągnął z komórki swój barani kozuch. Rysiu nie chciał w nim iść do szkoły, ale dziadek się uparł.

– Te, turoń, gdzie leziesz w tej baranicy! – krzyczały za nim dzieci i rzucały kulkami śniegu.

Nadeszła wiosna. Dziadek pobieł ściany. Pluskwy przestały dokuczać i dzieci w szkole też już nie były Rysia, bo tak ładnie rysował, że niektórzy zabierali jego szkice zwierząt do domu i prosili o nowe. W niedzielę chodził z dziadkiem Szydłem do lasu, nacinali pnie sosen, zbierali do blaszanego kubka żywicę, zakładali wnyki na zające. Dziadek wystrugał Rysiovi łódeczki z kory, które puszczał na Jeziorze Zielonym. Ten dziadek to był chyba najmądrzejszy na całym świecie: potrafił rozmawiać ze zwierzętami i wiedział, który grzyb to psiok, a który prawdziwek. Piekli razem kartofle w ognisku. Pewnego dnia dziadek pokazał mu w dziupli gniazdo kuny. Rysiu włożył rękę do środka i wymacał w puchu ciepły miot. Chciałby zamienić się na życia z tymi tumakami, zamieszkać w lesie i dzielić z nimi jaja ptaków i królicze nory, ale jednak pobiegł za dziadkiem, bo zrobiło się ciemno, a potem ciągle musiał za kimś biec i wszystko zleciało jak w amerykańskim filmie. Na nic nie starczało czasu i pieniędzy. Rysiu uwijał się jak w ukropie, żeby zarobić na buty, na pierwszy garnitur, przetrwać falę w wojsku, kupić sobie wueskę, zabrać Zosię na zabawę, zdążyć na egzamin w technikum rolniczym, na ślub, chrzciny i na nocną zmianę. Minęło dwadzieścia lat. Jechaliśmy razem autobusem do Myszkowa: ojciec do papierni, ja do księgarni po lekturę. Tata przysypiał na tylnym siedzeniu autobusu, postawił kołnierz katany, bo chłodno było o świcie.

– Dziwnie jest urządzone ten świat – odezwał się do mnie nagle, gdy pekaes skręcił na Pułaskiego. – Nawet nie zdążyłem się obejrzeć, już nazywają mnie starym, a przecież w środku jestem jak te guguły.

Pod koniec sierpnia wybrał się w niedzielę rano rowerem na ryby. Rozłożył wędki nad Jeziorem Zielonym, zasypiał i się budził, bo lewa ręka dziwnie mu drętwiała, a w mostku piekło. Kolorowy spławik, który

wystrugał z polimerowej pianki, podskakiwał w wodzie, ale nikt go już nie obserwował. Zanim pierwszy lin wziął przynętę, zanim minęło południe, ten pięćdziesięcioletni chłopiec naprawdę umarł.

NEON NAD JOWISZEM

Nad ranem obudził mnie dziwny odgłos przypominający gruchanie cukrówki. Otworzyłam oczy, a gruchanie się powtórzyło. Wyskoczyłam spod pierzyny, uchyliłam okno i wyjrzałam na zewnątrz. Na złamanym pniaku jabłonki przy stawie siedział Starszy Lajboś w aureoli robaczków świętojańskich.

– Co ty tu robisz? – zapytałam zaspanym głosem.

– Zwijam się z Hektarów. Idziesz ze mną?

– Gdzie? – dopięłam guzik we flanelowej piżamie.

– Stary dostał robotę w kopalni i w sobotę przeprowadzamy się do bloków.

Powoli zaczęłam dochodzić do siebie. Byłam zła, że mnie Starszy Lajboś obudził tak wcześnie, gdy śniłam akurat swój ulubiony sen o plenerze malarskim w Lublińcu, na który pojechałam kilka lat temu w ferie zimowe. Biała ćma w szare plamki ledwo chodziła po zaparowanej szybie. Wydała się mi jakaś anemiczna, dobiłam ją papuciem. Ubrałam się w kurtkę i džinsy, do plecaka wrzuciłam dwie paczki krakersów i wyskoczyłam przez okno na pokrzywy. Usiadłam obok Starszego Lajbosia na pieńku.

– Znowu kleiłeś?

– W-w-wkurwiłem się na starych – wyjąkał. Przysunął się bliżej i próbował mnie objąć, ale wstałam z pieńka.

– Nie mogę tu długo siedzieć, bo dostanę wilka, więc się streszczaj. Gdzie uciekamy?

– Zebrałem trochę kasy z butelek. Pojedziemy do Częstochowy, do

ciotki Jadzi, a potem się zobaczy. Może na Centralny do Warszawy?

– Masz szczęście, chłopie, że mama zapomniała spuścić na noc Miśka z łańcucha, boby ci zrobił z tyłka jesień średniowiecza.

– Co?

– E nic, nic. Skoro mamy iść, to chodźmy.

Szliśmy w milczeniu w stronę Świnicy, za którą wiła się ujeżdżona tirami szosa; szliśmy wolno jak po pastercie, jak mój ojciec wracający w niedzielę z ryb lub z partyjki pokera, jak wikary po udzieleniu ostatniego namaszczenia, jak babcia ciągnąca z pola dziecięcy wózek, w którym zamiast jej pierworodnej, przedwcześnie zmarłej córki leżał okryty chustką pęk dojrzałych makówek, wlekliśmy się pełni wątpliwości przez zagony buraków, błękitniejące poletka kapusty, zboża z ukrytymi grządkami maków, deptaliśmy siwiejące koszyczki dmuchawców. Dziady^[11] haratały nam nogi. Gzy kasały. Przedzieraaliśmy się przez chaszczce, łopuchy, tataraki, żyta inkrustowane chabrami, szliśmy w amoku, potykając się o koły krzywo wbite w ziemię, wapienne głązy, parujące kupki siana. Tenisówki i nogawki spodni przemokły nam od rosy, ale dalej szliśmy miedzą obok kotlinki z dębem, gdzie kiedyś płynął strumyk i – co tylko ja wiedziałam – przed wojną spotykał się tam z Jadzią od Nowaków jej nastoletni morderca z myszką na plecach, szliśmy przez wyjałowione pola słoneczników plewione kiedyś w ramach czynów społecznych przez kobiety, które co niedziela przywoził osinobus, szliśmy przez pestycydowe raje ptaków i umorusanych dzieci, które codziennie przemierzał Gienek Kombajnista wracający z Jowisza.

– Jak się przejaśni, to złapiemy autobus – mamrotał pod nosem Starszy Lajboś, ale go nie słuchałam. Szłam przygarbiona i starałam się myśleć tylko o tym, żeby nie wdepnąć w krowi placek albo w potrzask. Słońce coraz śmieiej przeglądało się w taflach glinianek, stawów, zalanych

[11] Dziady (reg.) – jeżyny.

kamieniołomów. Co piętnaście minut zatrzymywałam się i podjadałam krakersy z plecaka. Starszy Lajboś nie chciał nic jeść, tylko coraz częściej przykładł do ust woreczek z klejem.

Wreszcie doszliśmy do przystanku. Starszy Lajboś położył się na ławce we wnęce i ułożył głowę na plecaku.

– Muszę się teraz kimnąć, bo mną telepie. Obudź mnie, jak podjedzie autobus do Częstochowy. Dobra? – Spojrzał na mnie przekrwionymi oczami. Przytaknęłam i czytałam mu napisy na budce przystanku: „Kocham Kasię”, „Legia to kurwa” „Zima wasza, wiosna nasza, a lato Muminków”. Muchy obsiadły na wpół zaschniętą kupę przykrytą strzępami gazety. Poszłam za przystanek i zaczęłam ssać z głodu słodkie końcówki kwiatów koniczyn. Nadjechał pekaes do Częstochowy, ale go nie zatrzymałam. Patrzyłam zobojętniała na pola, szosę i kopalnię dolomitu.

Po drugiej stronie drogi dwaj mężczyźni ubrani w odblaskowe kurtki toczyli ciągnikową, dziurawą oponę. Nad Jowiszem zapalił się indygowy neon. Pomyślałam wtedy o matce, która od śmierci ojca wstawiała razem z tym neonem, zarzucała podomkę na żałobne ubrania, parzyła sobie zbożówkę z mlekiem, zaglądała do chorego dziadka, a potem do stołowego, gdzie urządziłam sobie pokój i sypiałam na wersalce pod „Jezusem nauczającym z łodzi”.

„Wstawaj do szkoły, już siódma” – szeptała, stawiała na nocnej szafce garnczek z lurowatą herbatą i zrzucała ze mnie pierzynę. Co, gdy tym razem zamiast mnie znajdzie w pościeli trzy zgrabnie ułożone jaśki? Usiądzie załamana na krześle przy drzwiach oklejonych plakatami Republiki i Perfectu czy wybiegnie z domu, szukać mnie na drodze? Spojrzałam na Starszego Lajbosia. Ciężko oddychał. Jego pryszczata, biała twarz przypominała zakalcowatą chatkę. Ślina ciekła mu z ust. Z kieszeni wystawał woreczek z klejem jak zużyty kondom. Nie mogłam

dłużej siedzieć z nim na przystanku, spięłam rozczochrane włosy gumką z dętki, którą zawsze nosiłam w kieszeni kurtki, zdjęłam przemoczone tenisówki i pobiegłam bosą na Hektary.

